

MORGAN RICE



WYPRAWA BOHATERÓW

KSIĘGA I KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice

Wyprawa Bohaterów

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Wyprawa Bohaterów / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd», — (Kręgu Czarnoksiężnika)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystko, co niezbędne, aby odnieść natychmiastowy sukces: fabułę, zmyślenia i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Zalecana jako stała pozycja w biblioteczce każdego czytelnika fantasy. - Books and Movie Reviews, Roberto Mattos. Numer 1 na liście bestsellerów, ponad 500 recenzji z pięcioma gwiazdkami w witrynie Amazon! Morgan Rice, znajdująca się najwyżej na liście autorów bestsellerów, przedstawia pierwszą z cyklu olśniewającą powieść z gatunku fantasy. WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) przedstawia obfitującą w przygody historię dojrzewania wyjątkowego chłopca, czternastolatka wywodzącego się z niewielkiej miejscowości położonej na peryferiach Królestwa Kręgu. Thorgrin, będąc najmłodszym z czwórki rodzeństwa, najmniej lubianym przez ojca i znienawidzonym przez braci, przeczuwa, iż jest inny od wszystkich. Jego marzeniem jest zostać wielkim wojownikiem, dołączyć do ludzi króla i chronić Krąg przed hordami stworów żyjących po drugiej stronie kanionu. Kiedy osiąga wiek poborowy, a jego ojciec zabrania mu uczestnictwa w werbunku do królewskiego legionu, chłopiec sprzeciwia się woli ojca i sam wyrusza w podróż z zamiarem dotarcia na królewski dwór, dostania się do legionu i zdobycia uznania. Jednakże, królewski dwór pełen jest rodzinnych tragedii, walki o władzę, ambicji, zazdrości, przemocy i zdrady. Król MacGil staje przed wyborem swego następcy spośród swych dzieci, a Miecz Przeznaczenia, który jest źródłem ich potęgi, spoczywa nietknięty w oczekiwaniu na wybrańca. Thorgrin przybywa jako obcy i walczy o akceptację i swoje miejsce w królewskim legionie. Z czasem przekonuje się, iż władza tajemną mocą, której nie rozumie; dowiadyuje się, że posiada wyjątkowy dar oraz szczególne przeznaczenie. Na przekór wszystkiemu zakochuje się w córce króla i w miarę jak ich związek rozkwita, zdaje sobie sprawę, iż ma potężnych przeciwników. Próbując zrozumieć swoją moc trafia pod opiekuńcze skrzydła królewskiego czarnoksiężnika, który opowiada mu o jego matce, której nigdy nie poznał, a

która żyje w odległej krainie, za kanionem, dalej nawet niż kraina smoków. Zanim Thorgrin wyruszy w niebezpieczną podróż i zostanie wojownikiem, czego tak bardzo pragnie, musi ukończyć trening. Jednak i to może zostać wkrótce przerwane, gdyż chłopiec trafia w samo centrum dworskich spisków i intryg, które mogą zagrozić jego miłości i sprowadzić na niego, jak i na całe królestwo, zagładę. WYPRAWA BOHATERÓW to finezyjny świat pełen wyrafinowanej scenerii, to epicka opowieść o przyjaźni i miłości, rywalizacji i zalotach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, dojrzewaniu, złamanym sercach, oszustwach, ambicjach i zdradach. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu oraz czarnoksiężstwie. To opowieść fantasy, która wciąga czytelnika w świat, którego nigdy nie zapomni, a który przemawia do każdego bez względu na wiek, czy płeć. Wersja anglojęzyczna składa się z 82000 słów. Księgi od 2 do 15 są dostępne w wersji anglojęzycznej! Tłumaczenie Księgi 2 na język polski - w przygotowaniu. Wciągające epickie fantasy. - Kirkus Reviews. Nadchodzi początek czegoś niezwykłego. - San Francisco Book Review. Wartka akcja... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące. - Publisher Weekly. Natchnione fantasy... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej opowieści dla młodzieży. - Midwest Book Review

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	12
ROZDZIAŁ DRUGI	19
ROZDZIAŁ TRZECI	26
ROZDZIAŁ CZWARTY	33
ROZDZIAŁ PIĄTY	37
ROZDZIAŁ SZÓSTY	42
Конец ознакомительного фрагмента.	44

Wyprawa Bohaterów

(Księga 1 Kręgu Czarnoksiężnika)

Morgan Rice

Przekład: Michał Głuszak

Tytuł oryginału

A QUEST OF HEROES



O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Swoją renomę zawdzięcza cyklom opowieści zatytułowanym *The Vampire Journals* (jedenaście ksiąg, kolejne w trakcie pisania), *The Survival Trilogy* (postapokaliptyczny dreszczowiec obejmujący dwie księgi, kolejna w trakcie pisania) oraz *Krąg Czarnoksiężnika* (epickie fantasy obejmujące już siedemnaście ksiąg, kolejne w trakcie pisania).

Książki autorstwa Morgan Rice są dostępne w wersjach audio i drukowanej i zostały przetłumaczone na język niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski oraz słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie opracowywania).

Morgan Rice chętnie zapoznaje się z wszelkimi opiniami czytelników. Zachęcamy do kontaktu z autorką za pośrednictwem strony internetowej www.morganricebooks.com. Można tam dopisać swój adres do listy mailingowej, otrzymać bezpłatne wersje niektórych książek i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, uzyskać najnowsze, niedostępne gdzie indziej informacje, połączyć się za pomocą Facebooka czy Twittera i zorientować się w aktualnych postępach prac nad kolejnymi tytułami.

Wybrane opinie o książkach Morgan Rice

Wyprawa po bohaterów zawiera wszystko, co niezbędne, aby odnieść natychmiastowy sukces: intrygę, kontrintrygę, tajemnicę, dzielnych rycerzy i bujne związki uczuciowe, obfitujące w złamane serca, podstęp i zdradę. Zadowoli czytelników w każdym wieku, zapewniając im wiele godzin rozrywki. Zalecana jako stała pozycja w bibliotece każdemu czytelnikowi fantasy.

– Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

Rice od samego początku świetnie wciąga czytelnika w swoją opowieść; wykorzystuje wspaniały dar opisywania, którym wykracza daleko poza zwykły opis scenerii (...). Ładnie napisane i błyskawicznie się czyta.

– Black Lagoon Reviews (z recenzji powieści Turned)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice świetnie buduje niezwykle ciąg zdarzeń (...). Orzeźwiająca i niepowtarzalna, choć zawiera klasyczne motywy znane z licznych opowieści fantasy dla młodzieży. Skupia się na losach jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Łatwo się czyta, chociaż wydarzenia następują po sobie w wyjątkowo szybkim tempie. Polecamy wszystkim miłośnikom pastelowych romansów z fantastyką w tle.

– The Romance Reviews (z recenzji powieści Turned)

Przykuła moją uwagę od razu i trzymała w napięciu aż do końca (...). To fantastyczna przygoda, od samego początku pełna szybkiej akcji. Nie ma tu ani jednej nudnej chwili.

– Paranormal Romance Guild (z recenzji powieści Turned)

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– Vampirebooksite.com (z recenzji powieści Turned)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, który ciężko odłożyć nawet w nocy. Kończy się tak nieoczekiwanym i spektakularnym akordem, że natychmiast chce się kupić kolejną część, aby zobaczyć, co się dzieje dalej.

– The Dallas Examiner (z recenzji powieści Loved)

Rywal cykli Zmierzch i Pamiętniki wampirów. Nie oprzesz się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli uwielbiasz przygody, romanse i wampiry, to książka właśnie dla ciebie!

– Vampirebooksite.com (z recenzji powieści Turned)

Morgan Rice po raz kolejny udowadnia swój niezwykle talent do opowiadania historii (...). Ta książka spodoba się szerokiemu gronu odbiorców, w tym także młodszym fanom gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się mocnym akordem, który pozostawia czytelnika w stanie szoku.

– The Romance Reviews (z recenzji powieści Loved)

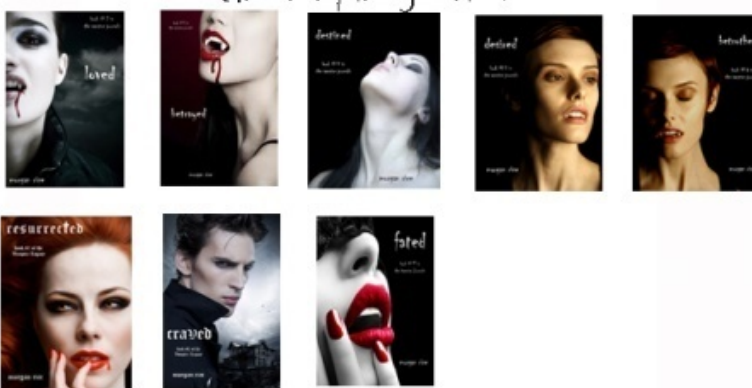
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Listen to THE SORCERER'S RING series in audio book format!
Książki z cyklu KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA autorstwa Morgan Rice

A QUEST OF HEROES (Księga 1) – Wyprawa po Bohaterów
A MARCH OF KINGS (Księga 2) – Marsz Władców
A FATE OF DRAGONS (Księga 3) – Los Smoków
A CRY OF HONOR (Księga 4) – Zew Honoru
A VOW OF GLORY (Księga 5) – Blask Chwały
A CHARGE OF VALOR (Księga 6) – Szarża Walecznych
A RITE OF SWORDS (Księga 7) – Rytuał Mieczu
A GRANT OF ARMS (Księga 8) – Ofiara Broni
A SKY OF SPELLS (Księga 9) – Niebo Zaklęć
A SEA OF SHIELDS (Księga 10) – Morze Tarcz
A REIGN OF STEEL (Księga 11) – Żelazne Rządy
A LAND OF FIRE (Księga 12) – Kraina Ognia
A RULE OF QUEENS (Księga 13) – Rządy Królowych
AN OATH OF BROTHERS (Księga 14)
A DREAM OF MORTALS (Księga 15)
A JOUST OF KNIGHTS (Księga 16)
THE GIFT OF BATTLE (Księga 17)
THE SURVIVAL TRILOGY
ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS
TURNED (Book #1)
LOVED (Book #2)

BETRAYED (Book #3)
DESTINED (Book #4)
DESIRED (Book #5)
BETROTHED (Book #6)
VOWED (Book #7)
FOUND (Book #8)
RESURRECTED (Book #9)
CRAVED (Book #10)
FATED (Book #11)
Copyright © 2012 by Morgan Rice

All rights reserved. Except as permitted under the U.S. Copyright Act of 1976, no part of this publication may be reproduced, distributed or transmitted in any form or by any means, or stored in a database or retrieval system, without the prior permission of the author.

This ebook is licensed for your personal enjoyment only. This ebook may not be re-sold or given away to other people. If you would like to share this book with another person, please purchase an additional copy for each recipient. If you're reading this book and did not purchase it, or it was not purchased for your use only, then please return it and purchase your own copy. Thank you for respecting the hard work of this author.

This is a work of fiction. Names, characters, businesses, organizations, places, events, and incidents either are the product of the author's imagination or are used fictionally. Any resemblance to actual persons, living or dead, is entirely coincidental.

Jacket image Copyright RazoomGame, used under license from Shutterstock.com.

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE
ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

– Niespokojna ta głowa, co koronę nosi –
William Shakespeare, Henryk IV, cz. II

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na najwyższym pagórku niziny Zachodniego Królestwa Kręgu stał chłopiec. Spoglądał na północ, gdzie na nieboskłon wschodziło pierwsze ze słońc. Po horyzont, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zielone wzgórza, a ich szczyty i dzielące je doliny wznosiły się i opadały niby wielkie garby. W ciemnopomarańczowych promieniach pierwszego słońca poranna mgła skrzyła się magią, jakby w odpowiedzi na rozterki chłopca. Rzadko wstawał tak wcześnie czy zapuszczał się tak daleko od domu, nigdy też nie wspinał się równie wysoko, bo wiedział, że rozgniewałoby to jego ojca. Tego dnia jednak było mu wszystko jedno. Zasady i obowiązki, które przytłaczały go dotąd przez czternaście lat życia, przestały się liczyć. Ten dzień był bowiem inny od wszystkich. Tego dnia upominało się o niego przeznaczenie.

Thorgrin z klanu McLeodów z Południowej Prowincji Królestwa Zachodu – dla wszystkich, których lubił, po prostu Thor – najmłodszy z czterech braci, a przy tym najmniej lubiany przez ojca, całą noc nie spał, nie mogąc doczekać się tego dnia. Z oczami zapuchniętymi od niewyspania przewracał się tylko z boku na bok i czekał, pragnąc z całych sił, aby wreszcie wzeszło pierwsze słońce. Bo taki dzień zdarzał się tylko raz na kilka lat i gdyby Thor go przeoczył, na resztę życia utknąłby w swojej wiosce, skazany na doglądanie ojcowskich owiec. Sama myśl o tym była nie do zniesienia.

Dzień Poboru, zaciągu do królewskiej armii. Dzień, w którym oddziały armii króla przeszukują każdą prowincję i wybierają spośród ochotników przyszłych żołnierzy Królewskiego Legionu. Przez całe swoje życie Thor marzył tylko o tym i tylko ten miał cel: dołączyć do Srebrnych, elitarnego kręgu rycerzy królewskich noszących najwspanialsze zbroje i posługujących się najlepszą bronią, jaką tylko można znaleźć w obydwu królestwach. Zanim jednak ktokolwiek dołączył do Srebrnych, musiał zostać członkiem Legionu, zastępu giernków w wieku od czternastu do dziewiętnastu lat. Tylko synowie szlachetnie urodzonych albo wsławionych w boju rycerzy dostępowali tego zaszczytu. Innego sposobu nie było.

Jedynym wyjątkiem od tej reguły był Dzień Poboru, rzadkie wydarzenie organizowane co kilka lat, kiedy liczebność Legionu spadała i królewscy żołnierze przeszukiwali prowincje, zaciągając rekrutów. Wiadomo było, że niewielu zostanie wybranych z pospólstwa, a jeszcze mniej w rzeczywistości dołączy do Legionu.

Thor bacznie śledził horyzont, wypatrując wszelkich oznak ruchu. Wiedział, że oddział Srebrnych musi przybyć tą właśnie drogą, jedyną prowadzącą do jego wioski. Chciał być pierwszym, który ich zauważy. Owce pasące się wokół beczaty, domagając się, aby sprowadził je z powrotem na dół, gdzie zieleń była bogatsza i smaczniejsza. Próbował nie zwracać uwagi ani na ich beczenie, ani na odór. Potrzebował się skupić.

Wszystkie lata spędzone na pasaniu owiec, na usługiwaniu ojcu i braciom w roli kogoś, komu powierzano najwięcej obowiązków i okazywano najmniej troski, pozwoliła mu przetrwać tylko jedna myśl: że kiedyś opuści to miejsce. Że pewnego dnia, kiedy Srebrni zjawią się w wiosce, Thor zaskoczy wszystkich, którzy go nie doceniają, i trafi do grona wybrańców. W mgnieniu oka wsiądzie do powozu i pożegna się z dotychczasowym życiem.

Rzecz jasna ojciec Thora nigdy tak naprawdę nie widział w nim kandydata na legionistę. W zasadzie nie widział w nim kandydata na kogokolwiek. Całą swoją miłość i uwagę poświęcił trzem starszym synom. Najstarszy z nich miał dziewiętnaście lat, a że młodszy rodzi się kolejno rok po roku, między najmłodszym z nich a Thorem były dobre trzy lata różnicy. Może dlatego, a może z powodu podobieństwa, jakie łączyło trzech starszych braci i zarazem odróżniało ich od Thora, trzymali tylko ze sobą, ledwo zauważając jego istnienie.

Co gorsza, górowali nad nim wzrostem, siłą i posturą. Thor nie był ułomkiem, jednak przy nich czuł się mały, a własne mięśnie wydawały mu się mizerne w porównaniu z rękami i nogami

braci, rosnących jak młode dęby. Ojciec nie starał się tego zmieniać, a wręcz cieszyło go, że Thor pasa owce i dba o broń, podczas gdy jego bracia oddają się ćwiczeniom. Zgodnie z powszechnym, choć niewyrażanym wprost mniemaniem życie chłopca miało upłynąć w cieniu jego braci oraz ich wspaniałych czynów. Gdyby miało się ziścić to, co zdaniem ojca i braci było mu sądzone, pozostałby w wiosce, pochłonięty jej sprawami, obciążony obowiązkiem wspierania bliskich.

Thor wyczuwał zarazem, że bracia – co osobliwe – obawiają się go, może nawet nienawidzą. Dostrzegał to w każdym ich spojrzeniu, w każdym geście. Jakimś cudem wywoływał u nich coś na kształt strachu i zazdrości. Może dlatego, że nie przypominał ich z wyglądu i że wyrażał się inaczej. Różnił się od nich także ubiorem, choć to dla nich ojciec odkładał najlepsze odzienie w kolorze purpury i szkarłatu oraz ozdobny oręż, jemu pozostawiając jedynie szorstkie, parciane łachmany. Mimo to chłopiec całkiem dobrze dawał sobie radę z ubraniem: przewiązywał w pasie kaftan, a nawet odciął w nim rękawy, kiedy przyszło lato, żeby na silnych rękach czuć muśnięcia wiatru. Nosił też zgrzebne lniane spodnie – miał tylko jedną parę – i sandały z najlżejszej skóry, wiązane na łydkach. W żadnej mierze nie dorównywały porządnyemu skórzanemu butom jego braci, ale Thorowi wystarczały. Chodził więc w zwykłym stroju pasterskim. Daleko mu jednak było do zwykłego pasterza: był wysoki jak na swój wiek i smukły, miał twarz o mocnym, dumnym profilu, szlachetny podbródek i wydatne kości policzkowe, słowem – wyglądał jak wojownik na wygnaniu. Z głowy spływała mu fala prostych kasztanowych włosów, podciętych za uszami, a szare oczy lśniły mu w świetle dnia niby para srebrzystych płoci.

Thor wiedział, że tego dnia jego bracia będą mogli pospać dłużej i najeść się do syta, a potem stanąć do Poboru w najlepszym rynsztunku i z ojcowskim błogosławieństwem, podczas gdy jemu nie będzie dane nawet uczestniczyć w wydarzeniu. Nie poszło mu za dobrze, gdy kiedyś próbował porozmawiać o tym z ojcem – ten z miejsca uciął rozmowę i następnych prób Thor już nie podejmował. Czuł jednak, że odmowa spotkała go niezasłużenie. Postanowił więc rzucić wyzwanie losowi, jaki wyznaczył mu ojciec: na sam widok królewskich powozów popędzi do wioski, stanie przed nim i oznajmi mu, że – nieważne, zgodnie z jego wolą czy nie – i tak pokaże się żołnierzom. Ma prawo uczestniczyć w Poborze tak samo jak inni, a on nie może go powstrzymać. Na samą myśl o tym ścisnęło go w dołku.

Dostrzegł ich, kiedy pierwsze słońce wspięło się wyżej, a drugie weszło nad horyzont i rozjaśniło fiolet nieba blaskiem miętowej zieleni. Z wrażenia wyprężył się jak struna, włosy stanęły mu dęba. W oddali majaczyły zarysy konnego powozu i wzbijany przez jego koła tuman pyłu. Zobaczył następny powóz, a potem jeszcze jeden i poczuł, że serce bije mu coraz szybciej i szybciej. Nawet z tej odległości widział, jak zdobione powozy błyszczą w świetle obu słońc niby srebrnołuskie ryby, które wyskoczyły nad powierzchnię wody.

Doliczywszy się dwunastu, Thor nie mógł już dłużej zwlekać. Serce dudniło mu w piersi młotem. Pierwszy raz w życiu porzucając swoje owce, obrócił się na pięcie i puścił biegiem w dół, zdecydowany zrobić wszystko, co w jego mocy, aby stanąć przed żołnierzami króla.

*

Thor niemal bez tchu pędził na skróty przez porastający wzgórze las, nie zważając na to, że czasem boleśnie drapią go gałęzie. Wypadł na polanę, z której rozciągał się widok na jego wioskę położoną poniżej. W niskich chatkach z białej gliny o dachach krytych strzechą żyło kilkanaście rodzin. Z kominów unosił się dym; większość mieszkańców wstała wcześniej, żeby przygotować poranny posiłek. Senne, beztroskie sioło leżało wystarczająco daleko od Królewskiego Dworu – o dobry dzień jazdy konno – aby zniechęcić przypadkowych przejezdnych do odwiedzin. Była to przecież tylko chłopska osada na krawędzi Kręgu, nic więcej – jedna z wielu podobnych osad, zaledwie trybik w maszynie Królestwa Zachodu.

Thor ruszył biegiem przez środek wioski, wzbijając za sobą tumany pyłu. Psy i kury tylko uciekały mu spod nóg. Przy ognisku przed jednym z domostw jakaś kobiecina doglądała kociołka z gotującą się wodą.

– Wolniej, smyku! – syknęła, kiedy przebiegając obok, sypnął jej piachem w ogień.

Ale Thor nie zwolniłby teraz dla nikogo. Skręcił w bok, potem znowu, klucząc dobrze znaną sobie drogą, aż wreszcie dopadł domu – małej chaty nie różniącej się od innych, także o ścianach z białej gliny, także ze spadzistym dachem o słomianym poszyciu. Podobnie jak większość pozostałych, składała się z izby rozdzielonej na dwoje przepierzeniem – po jednej jego stronie spał ojciec, po drugiej starsi bracia Thora. Z tyłu chaty mieścił się niewielki kurnik i to tutaj z czasem zamieszkał chłopiec. Na początku spał w izbie z braćmi, ale w miarę jak dorastali, stawali się coraz bardziej złośliwi i wyniośli, wyraźnie pokazując najmłodszemu, że wśród nich nie ma dla niego miejsca. Bolało go to, ale i cieszyło, bo dzięki temu miał swój własny kąt i nawet wołał zniknąć braciom z oczu. Potwierdzili tylko to, co wiedział już wcześniej – był wygnańcem we własnej rodzinie.

Thor dobiegł do drzwi, otworzył je i bez wahania wpadł do izby.

– Ojcze! – krzyknął, próbując złapać oddech. – Srebrni! Srebrni jadą!

Bracia z ojcem siedzieli zgarbieni przy stole ze śniadaniem, gotowi już do wyjścia w swoich najlepszych ubraniach. Na słowa Thora zerwali się na równe nogi i, potrącając go w drzwiach, wybiegli aż na drogę. Thor dołączył do nich i po chwili razem wpatrywali się w dal.

– Nikogo nie widzę – oznajmił basowym głosem Drake. Najstarszy z nich i najszerszy w barach, z włosami ściętymi krótko podobnie do reszty braci, obrzucił Thora gniewnym brązowookim spojrzeniem i pogardliwie wydał usta, jak miał w zwyczaju.

– Ani ja – zawtórował mu o rok młodszy Dross, zawsze trzymający stronę starszego brata.

– Jadą! – odparł Thor. – Daję słowo!

Ojciec obrócił się ku niemu i mocno chwycił go za ramiona.

– A ty niby skąd to wiesz? – zapytał.

– Widziałem ich.

– Jakim cudem? Gdzie?

Thor zawahał się; ojciec go podszedł, bo dobrze wiedział, że jedynym miejscem, z którego dałoby się dostrzec powozy, był najwyższy pagórek w okolicy. Chłopiec zastanawiał się, co powiedzieć.

– Ja... poszedłem na ten wysoki pagórek...

– Razem z całym stadem? Dobrze wiesz, że dla owiec to za daleko.

– Ale dziś jest wyjątkowy dzień. Musiałem ich zobaczyć.

Ojciec zgromił go wzrokiem.

– Ruszaj po miecze braci, tylko je wypoleruj! Mają wyglądać jak najlepiej, zanim królewscy tu zjadą. – Uznavszy sprawę za zakończoną, odwrócił się do pozostałych braci, nadal wpatrujących się w dal.

– Myślisz, że nas wybiorą? – spytał Durs, najmłodszy z całej trójki, ten starszy od Thora o pełne trzy lata.

– Jeśli nie, wyjdą na głupców – odrzekł ojciec. – W tym roku brakuje im ludzi. Musieli dotąd przyjąć niewielu, inaczej nawet by tu nie zaglądali. Macie tylko stać prosto, głowa do góry, pierś naprzód! Nie patrzcie im prosto w oczy, ale też nie odwracajcie wzroku. Bądźcie silni i pewni siebie, nie okazujcie słabości. Jeśli chcecie należeć do Królewskiego Legionu, zachowujcie się tak, jakbyście już w nim byli.

– Tak jest, ojcze! – odpowiedzieli natychmiast, wyprężając się jak struny.

Ojciec odwrócił się i znów zgromił Thora spojrzeniem.

– Ty jeszcze tutaj? Jazda do domu!

Thor stał jak wryty, a serce tłukło mu się w piersi. Był w rozterce: nie chciał okazywać ojcu nieposłuszeństwa, musiał z nim jednak pomówić. Uznał, że lepiej będzie przynieść braciom miecze, jak każe ojciec, a dopiero potem z nim porozmawiać. Teraz bunt na nic mu się nie zda. Ruszył więc pędem do chaty, a na wskroś przez nią – na jej tyły, do składzika z bronią. Znalazł tam miecze braci – piękne, kunsztownie wykonane, zwieńczone głowicami z najlepszego srebra; były to podarunki dla

synów, na które ich ojciec pracował przez długie lata. Thor chwycił wszystkie trzy miecze naraz i ruszył z powrotem, jak zwykle zaskoczony tym, jakie są ciężkie.

Podbiegł do braci, rozdał im miecze i zwrócił się ku ojcu.

– Jak to? Niewypolerowane? – zdziwił się Drake.

Ojciec spojrzał na Thora z potępieniem i już miał się odezwać, kiedy ten wybuchnął:

– Ojcze, proszę cię. Muszę z tobą pomówić!

– Kazałem ci coś zrobić, a ty...

– Ojcze, błagam!

Ojciec patrzył na Thora gniewnie, ale z twarzy chłopca musiał wyczytać powagę, bo rzucił w końcu:

– No więc?

– Chcę stanąć do Poboru. Tak jak inni. I dostać się do Legionu.

Thor usłyszał za sobą donośny śmiech braci i poczerwieniał. Ojcu jednak daleko było do śmiechu; wprost przeciwnie, wyglądał na bardziej zagniewanego.

– Czyżby?

Thor skinął głową z zapalem.

– Mam czternaście lat. Nadaję się.

– Czternaście lat to dolna granica wieku – skwitował lekceważąco Drake. – Gdyby cię przyjęli, byłbyś najmłodszym rekrutem. Myślisz, że wybraliby ciebie zamiast kogoś takiego jak ja, o pięć lat starszego?

– Bezczelnyś, bratku – dodał Durs. – I zawsze taki był.

– Was nikt nie pyta – rzucił Thor w stronę braci, po czym wrócił spojrzeniem do nachmurzonego ojca. – Ojcze, błagam. Daj mi tę szansę. O nic więcej nie proszę. Wiem, jestem młody, ale z czasem pokażę, na co mnie stać.

Ale ojciec jedynie pokręcił głową.

– Żaden z ciebie żołnierz, chłopcze. Nie jesteś jak twoi bracia. Jesteś pasterzem. Będiesz żyć tutaj, przy mnie. Będiesz spełniać swoje obowiązki, i to spełniać je dobrze. Nie trzeba mierzyć zbyt wysoko. Pogódź się z tym i naucz się znajdować upodobanie w tym, jak żyjesz.

Thor poczuł, że serce pęka mu z żalu, a świat wali mu się na głowę.

Nie, pomyślał. Tak się nie stanie.

– Ale, ojciec...

– Milcz! – ojciec uciął rozmowę tonem przenikliwym niby świst bata. – Dostyć już tego. Zaraz tu będą. Zejdź nam z oczu i lepiej zachowuj się jak należy – to powiedziawszy, ojciec ruszył przed siebie, bezceremonialnie spychając Thora z drogi jak coś, czego nie chce widzieć. Chłopca aż zabolowało od silnego pchnięcia wielką ojcowską dłońią w pierś.

Dało się słyszeć coraz głośniejsze dudnienie. Ludzie zaczęli wychodzić z domów i stawać przy drodze. Rosnący z każdą chwilą tuman kurzu zwiastował nadjeżdżającą kawalkadę królewskich zbrojnych. Wkrótce dwanaście konnych powozów wtargnęło do wioski niby nagły najazd wojsk, z łoskotem przywodzącym na myśl burzowe grzmoty. Zaprzęgi zatrzymały się nieopodal domu Thora. Konie prychały i przestępowały niespokojnie z nogi na nogę. Kłęby kurzu przeredzały się z wolna, a Thor niecierpliwie usiłował dojrzeć wśród nich broń i zbroje przybyszy. Nigdy jeszcze nie był tak blisko Srebrnych i serce waliło mu z emocji.

Żołnierz, który przybył na czele kawalkady, właśnie zsiadał z konia. Oto stał przed Thorem prawdziwy rycerz Srebrnych, w błyszczącej kolczudze, z długim mieczem przypiętym do pasa. Wyglądał na trzydzieści parę lat i mężem był na schwał: miał twarz porośniętą szczecina i całą w bliznach, a krzywy nos stanowił zapewne pamiątkę po jakiejś bitwie. Thor nigdy dotąd nie widział równie rosnącego mężczyzny; w ramionach był dwa razy szerszy od pozostałych. Po wyrazie jego twarzy nietrudno było zgadnąć, że jest dowódcą. Mężczyzna zeskoczył na piaszczystą drogę i, pobrzękując ostrogami, podszedł do chłopców stojących w szeregach.

Jak wieś długa i szeroka, dziesiątki chłopców stały na baczność przy drodze; wielu z nich miało wypisaną na twarzy nadzieję. Srebrnym towarzyszyły honor i bitwy, rozgłos i sława, a także tytuły i bogactwa, najżyźniejsze lenne ziemie, najpiękniejsze panny na wydaniu i życie w chwale. Trafienie do ich grona przynosiło chlubę całej rodzinie. Pierwszym krokiem na drodze do tej chluby było zaś wstąpienie do Legionu.

Przyglądając się wielkim zdobionym powozom, Thor pojął, że mogą pomieścić tylko pewną liczbę rekrutów. Kawalkadzie Srebrnych pozostało w rozległym królestwie jeszcze wiele miejsc do odwiedzenia. Chłopiec przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że jego szanse są mniejsze, niż mu się dotąd wydawało. Musiałby pokonać nie tylko swoich braci, ale i wszystkich innych chłopaków, z których wielu było już nieźle doświadczonych w młodzieńczych bójkach. Miał coraz gorsze przeczucia.

Wstrzymując oddech z wrażenia, patrzył, jak barczysty żołnierz w milczeniu podchodzi do kolejnych chłopców i mierzy ich wzrokiem; rozpoczął od krańca szeregów i powoli zbliżał się w stronę Thora. Ten oczywiście znał wszystkich chłopców. Wiedział też, że niektórzy z nich, choć nigdy by się do tego nie przyznali, wcale nie chcieli wstępować do Legionu, mimo że ich rodziny właśnie tego od nich oczekiwały. Bali się; nie nadawali się na żołnierzy. Policzki Thora płonęły, nie mógł znieść tego upokorzenia. Czuł, że zasługuje na wzięcie udziału w Poborze tak samo jak wszyscy inni. To, że jego bracia byli starsi, wyżsi i silniejsi, nie znaczyło jeszcze, że nie ma prawa także stanąć do Poboru i zostać wybranym. Pałał nienawiścią do ojca i omal ze skóry nie wyskoczył, kiedy żołnierz podszedł bliżej.

Ten tymczasem zatrzymał się po raz pierwszy – przy braciach Thora. Obejrzał ich bacznie od stóp do głów i mogło się здаwać, że wywarli na nim wrażenie. Wyciągnął rękę ku Drake'owi, chwycił za jego pochwę z mieczem i szarpnął, jakby chciał sprawdzić solidność broni. Uśmiechnął się szeroko.

– Nie dobywałeś jeszcze tego miecza w boju, prawda, chłopcze? – zapytał.

Pierwszy raz w życiu Thor zobaczył, jak Drake się denerwuje i przełyka ślinę.

– Nie, panie. Ale często władałem nim podczas ćwiczeń i ufam, że...

– Podczas ćwiczeń!

Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem i odwrócił się do pozostałych żołnierzy, którzy dołączyli do niego, śmiejąc się Drake'owi prosto w twarz. Drake poczerwieniał ze wstydu. Thor po raz pierwszy widział, żeby jego najstarszy brat czegoś się wstydził – zwykle to raczej on zawstydział innych.

– Nie omieszkam ostrzec naszych wrogów, żeby drżeli ze strachu przed Tym, Który Włada Mieczem Podczas Ćwiczeń!

Znów rozległ się śmiech żołnierzy.

Dowódca spojrzał na pozostałych braci.

– Trzech z jednego chowu – powiedział, pocierając zarost na brodzie. – Może i się przydadcie. Wszyscy słusznego wzrostu... choć brak wam doświadczenia. Aby wytrwać w Legionie, będziecie musieli jeszcze dużo ćwiczyć. – Zawahał się, ale dokończył: – Może znajdzie się dla was miejsce. – Wskazał ruchem głowy ostatni powóz z kawalkady. – Ruszajcie, tylko duchem, pókim się nie rozmyślił.

Promieniejąc ze szczęścia, trzech bracia rzucili się w stronę powozu. Thor zobaczył, że także ojciec się rozpromienił. W nim samym jednak z każdym krokiem braci narastało przygnębienie.

Dowódca odwrócił się i ruszył w kierunku następnej chaty. Thor nie wytrzymał.

– Waszmość panie! – krzyknął za nim.

Ojciec spiorunował go wzrokiem, ale chłopcu było już wszystko jedno.

Żołnierz zatrzymał się i powoli odwrócił.

Thor z drżeniem serca wystąpił na dwa kroki i z całej siły wypiął pierś.

– Nie rozważyliście jeszcze mnie, waszmość panie – powiedział.

Zaskoczony takim zachowaniem, dowódca zmierzył chłopca wzrokiem, jakby węszył jakiś żart.
– Jesteś pewien? – spytał i znów wybuchnął śmiechem.

Jego ludzie mu zawtórowali. Thor jednak nie dbał o to. Ta chwila należała do niego. Teraz albo nigdy.

– Chcę wstąpić do Legionu! – powiedział.

Żołnierz podszedł bliżej.

– Co ty nie powiesz? – Wyglądał na rozbawionego. – A czternaście lat już skończyłeś?

– Tak, waszmość panie. Dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie temu! – Dowódca ryknął śmiechem i ponownie zawtórowali mu jego żołnierze.

– Wobec tego nasi wrogowie niechybnie zadrżą ze strachu już na sam twój widok.

Thor czuł, że policzki płoną mu ze wstydu. Musiał coś zrobić, żeby ta rozmowa skończyła się inaczej. Kiedy żołnierz ponownie się odwrócił i ruszył dalej, Thor postąpił o kolejny krok naprzód i krzyknął:

– Waszmość panie! Robicie wielki błąd!

Z tłumu dobiegł zbiorowy zdławiony okrzyk zgrozy, żołnierz zaś stanął i znów powoli się odwrócił, tym razem z wyraźnie gniewną miną.

– Głupi smarkaczu – zawołał ojciec, chwytając Thora za ramię – jazda do domu!

– Ani mi się śni! – odparł chłopiec, odtrącając rękę ojca.

Dowódca podszedł bliżej, a ojciec się cofnął.

– Wiesz, jaka kara grozi za obrazę jednego ze Srebrnych? – warknął żołnierz.

Serce waliło Thorowi jak oszalałe, ale wiedział, że teraz nie może się wycofać.

– Darujcie mu, wielmożny panie rycerzu – powiedział ojciec. – To jeszcze dzieciak i...

– Nie do ciebie mówiłem – odparł dowódca, piorunując ojca wzrokiem, aż ten spuścił oczy.

Potem ponownie zwrócił się do Thora: – Odpowiadaj!

Thor przełknął ślinę; nie mógł wykrztusić ani słowa. Inaczej to sobie wszystko wyobrażał.

– „Kto znieważa Srebrnych, samego króla znieważa” – odparł w końcu potulnie, recytując z zapamiętanych nauk.

– Zaiste – powiedział żołnierz. – To znaczy, że jeśli zechcę, mogę wymierzyć ci za karę czterdzieści batów.

– Waszmość panie, ani mi w głowie was znieważać – odrzekł Thor. – Chcę się tylko zaciągnąć. Błagam. Całe życie o tym marzę. Proszę, pozwólcie mi do was dołączyć.

Kiedy tak stali, oblicze dowódcy powoli łagodniało. Po dłuższej chwili potrząsnął jednak głową.

– Za młodyś, chłopcze. Dumne masz serce, ale jesteś jeszcze niegotowy. Wróć do nas, kiedy dorośniesz.

To rzekłszy, żołnierz obrócił się na pięcie, po czym – niewiele zważając na resztę chłopców – wrócił do swojego konia i szybko go dosiadł.

Przybity całym zajściem Thor stał jak skamieniały, kiedy kawalkada ruszyła. Znikła równie szybko, jak się pojawiła. Na samym jej końcu Thor zobaczył braci; siedzieli z tyłu ostatniego powozu i patrzyli nań z drwiną i niechęcią. Odjeżdżali w dal, ku lepszemu życiu, on tymczasem pragnął zapaść się pod ziemię.

W miarę jak emocje opadały, mieszkańcy wioski zaczęli wymykać się z powrotem do swoich chat.

– Głupi młokosie! Wiesz, jak niedorzecznieś postąpił? – syknął ojciec, chwytając Thora za ramiona. – Pojmujesz, że mogłeś zniweczyć szanse swoich braci?

Thor gwałtownie strącił z siebie rękę ojca, a wtedy ten wierzchem dłoni chlasnął go w twarz. Chłopiec poczuł piekący ból i spiorunował ojca wzrokiem. Pierwszy raz w życiu jakąś częścią woli zapragnął ojcu oddać. Powstrzymał się jednak.

– Ruszaj sprowadzić do domu owce, i to już! A jak już wrócisz, nie spodziewaj się posiłku aż do jutra. Zamiast jeść, porozmyślasz o tym, co zrobiłeś.

– Może już wcale tu nie wrócę! – krzyknął Thor, odwrócił się i ruszył biegiem w stronę wzgórz, byle dalej od domu.

– Thor! – zawołał za nim ojciec, aż przechodzący w pobliżu wieśniacy zatrzymali się i popatrzeli.

Thor biegł truchtem, a potem jeszcze przyśpieszył. Chciał być jak najdalej stąd. Prawie nie zauważył, że z oczu płyną mu łzy. Wszystkie jego marzenia właśnie legły w gruzach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Thor długo krążył bez celu po okolicznych wzgórzach, czując, że wszystko w nim aż się gotuje. W końcu siadł na jednym z pagórków, skrzyżował ręce na kolanach i spojrzał na horyzont. Powozy z rekrutami zdążyły już za nim zniknąć, ale wzbity przez ich koła pył unosił się jeszcze w powietrzu.

Drugi raz już dziś nie przyjadą. Przeznaczenie skazywało go na długie lata w wiosce, które miał spędzić w oczekiwaniu na kolejną szansę – inną wizytę królewskich, o ile kiedykolwiek nastąpi, i ojcowską zgodę, o ile ją kiedykolwiek uzyska. Teraz będzie musiał mieszkać z ojcem sam i z pewnością nieraz odczuje na sobie całą jego złość. Nadal będzie co najwyżej jego pacholkiem. Z upływem lat sam skończy tak jak ojciec, nie mogąc ruszyć się nigdzie z wioski, podczas gdy jego bracia będą zdobywać sławę i chwałę. Czuł, jak na samą myśl o tym wzbiera w nim gniew. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie może zrobić czegoś, by odmienić swój los, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Jednego był pewien: nie tak miało wyglądać jego życie.

Siedział tak godzinami, aż wreszcie wstał i z rezygnacją ruszył dobrze znanymi sobie wzgórzami, coraz wyżej i wyżej, w kierunku stada owiec pozostawionego na wysokim pagórku. Pierwsze słońce skłaniało się już ku zachodowi, drugie zaś stało w zenicie, rozświetlając okolicę zieloną poświatą. Thor się nie spieszył. Idąc powoli, bezwiednie wyjął zza pasa procę, której skórzany uchwyt nosił ślady wielu lat użytkowania. Włożył rękę do przywieszzonego na biodrze woreczka i zaczął bawić się trzymanymi tam kamykami, z których jeden gładszy był od drugiego. Zbierał je od dawna w ulubionych strumykach. Czasami strzelał z procy do ptaków, kiedy indziej do wszelakiej maści gryzoni. Wyrobił w sobie ten nawyk przez długie lata spędzone na pasaniu owiec. Z początku w nic nie umiał wcelować. Pewnego razu jednak udało mu się trafić w ruchomy cel. Od tego czasu nigdy już nie chybiał. Strzelanie z procy stało się dlań czymś równie naturalnym jak oddychanie, nieraz nawet dawał w ten sposób upust swojej złości. Jego bracia może i potrafili jednym ciosem miecza rozłupać polano – nigdy jednak nie udałooby im się trafić kamieniem w lecącego ptaka.

Thor włożył jeden z kamyków w procę, zamachnął się i cisnął nim z całej siły, wyobrażając sobie, że mierzy do swego ojca. Trafił dokładnie tam, gdzie chciał, utracając gałązkę odległego drzewa. Wkrótce po tym, gdy zdał sobie sprawę, że umie zabijać uciekające zwierzęta, przestał celować do żywych stworzeń w obawie przed skutkami swojej śmiertelności umiejętności, nie chcąc ranić żadnego z nich. Teraz za cel obierał gałęzie – chyba że chodziło o jakiegoś lisa czyhającego na jego stado. Z czasem dzikie zwierzęta nauczyły się omijać owce Thora z daleka, dzięki czemu miał najlepiej chronione stado w całej wsi.

Chłopiec myślał o swoich braciach, o tym, gdzie teraz są, i aż wrzała w nim krew. Po całym dniu jazdy zapewne dotarli już do Królewskiego Dworu. Widział to doskonale oczami wyobraźni: jak wjeżdżają do grodu przy dźwięku fanfar, witani przez odświętnie ubranych mieszkańców, przez żołnierzy, przez Srebrnych; jak przydzielają im miejsca w barakach Legionu i na placu ćwiczebnym, by mogli uczyć się walki najlepszą bronią; jak każdy z nich zostaje giermkim słynnego rycerza; jak pewnego dnia sami zostają pasowani na rycerzy, otrzymują własnego rumaka, własny herb i własnego giermka; jak biorą udział w licznych świętach i festynach i jak biesiadują przy królewskim stole. Widział, jak wiodą życie wybrańców, które jemu wyslizgnęło się z rąk.

Thor czuł się okropnie, więc próbował przestać o tym wszystkim myśleć – ale nadaremno. Jakaś częśćka jego duszy, głęboko ukryta, wołała do niego: Nie poddawaj się. Twoje przeznaczenie, które jest silniejsze niż te przeciwności, przekracza twoje najśmielsze oczekiwania. Nie miał pojęcia, na czym ono polega, ale przeczuwał, że nie było mu pisane pozostać w wiosce. Czuł, że jest inny. Może nawet wyjątkowy. Że nikt go nie rozumie. I że nikt go nie docenia.

Dotarł do wysokiego pagórka i na jego zboczu dostrzegł swoje stado. Owce – nad wyraz rozsądnie – pasły się nadal w jednej grupie, z zadowoleniem gryząc kępy traw. Wypatrując na ich

grzbietach czerwonych plam, którymi sam je kiedyś znaczył, przeliczył je szybko – i zmarł. Jednej owcy brakowało.

Policzył je jeszcze raz. I znowu. Nie mógł w to uwierzyć, ale stało się: jedna przepadła.

Dotąd nie zdarzyło mu się jeszcze stracić żadnej owcy. Ojciec nigdy by mu tego nie zapomniał. Bardziej jednak martwiło go, że się gdzieś zgubiła i błąka się sama, narażona na niebezpieczeństwa. Nie mógł znieść, kiedy niewinnym istotom zdarzało się coś złego.

Pognał na sam szczyt pagórka i zaczął przeczesywać wzrokiem okolicę. Po chwili zobaczył zaginioną owcę w oddali, o kilka wzniesień od niego, samotną, z czerwoną plamą na grzbiecie. Rozpoznał w niej tę, która zawsze była najbardziej krnąbrna w całym stadzie. Serce w nim zamarło: nie dość, że owca uciekła, to jeszcze w najgorszym ze wszystkich możliwych kierunków – na zachód, w stronę Mrocznego Lasu.

Chłopiec przełknął ślinę. Mroczny Las był miejscem zakazanym – nie tylko dla owiec; także dla ludzi. Thor wiedział, od kiedy tylko nauczył się chodzić, że nie wolno wkraczać do tej puszczy, zaczynającej się niedaleko jego wioski. Nigdy też tam nie wszedł. Legendy głosiły, że wkroczenie do Mrocznego Lasu oznacza niechybną śmierć – w niezbadanej gęstwinie pełno było okrutnego zwierza.

Spojrzał na zmierzchające już niebo. Nie mógł dać owcy po prostu uciec. Uznał, że jeśli się pośpieszy, zdąży dotrzeć do niej i z powrotem, zanim się ściemni.

Rozejrzał się jeszcze raz, po czym ruszył biegiem za owcą – na zachód, w kierunku Mrocznego Lasu, nad którym zbierały się właśnie ciężkie chmury. Miał złe przeczucie, ale nogi same go niosły. Wiedział, że nie może już zawrócić, nawet gdyby się rozmyślił.

Czuł się, jakby pędził na spotkanie jakiegoś koszmaru.

*

Nie przystając ani na chwilę, Thor przebiegł kilka pagórków, które oddzielały go od gęstwiny Mrocznego Lasu. Tu, gdzie bór miał swój początek, kończyły się wszelkie ścieżki. Thor wbiegł w niezbadaną puszcę, a pod nogami zaszeleściły mu liście opadłe z rozgrzanych wczesnoletnim słońcem drzew.

Kiedy tylko przekroczył granicę lasu, ogarnął go półmrok. Korony wysokich sosen prawie nie przepuszczały światła. Thor poczuł też chłód, ale nie było to zwykłe zimno wywołane cieniem, tylko coś, czego nie umiał nazwać, jakby przeczucie, że ktoś lub coś go obserwuje. Spojrzał w górę na wiekowe, sękate konary, grubsze od niego samego, które kołysały się na wietrze, skrzypiąc złowieszczo. Nim uszedł kilkadziesiąt kroków, zaczął słyszeć wokół siebie dziwne zwierzęce odgłosy. Obejrzał się i ledwo rozpoznał miejsce, z którego wyruszył w głąb puszczy; już czuł się tak, jakby zgubił jedyną drogę wyjścia. Zawahał się.

Mroczny Las od zawsze rósł nieopodal wioski Thora, jawiąc się w jego świadomości jako coś głębokiego i tajemniczego. Żaden pasterz, który stracił w nim owcę, nigdy nie szedł jej tam szukać, nawet ojciec Thora. Zbyt mroczne i zbyt często powtarzane opowieści krążyły o tym miejscu. Dzisiejszy dzień był jednak inny, coś w nim sprawiało, że chłopcu było wszystko jedno, że zapominał o rozsądku. Jakaś część siebie chciał przekroczyć granice i odejść jak najdalej od domu, zdając się na przypadek. Szedł więc dalej, aż przystanął, niepewny dalszej drogi. Wtedy zobaczył ślady, jakie musiała zostawić jego owca – ułamane i powyginane gałązki – i ruszył jej tropem. Po jakimś czasie znowu zmienił kierunek.

Nim minęła kolejna godzina poszukiwań, Thora ogarnęło rozpaczliwe przeczucie, że zupełnie się zgubił. Próbował przypomnieć sobie, skąd przyszedł, lecz nie był tego pewien. Z niepokoju zaczęło ścisnąć go w dołku, ale pomyślał, że jakieś wyjście z Mrocznego Lasu musi leżeć gdzieś przed nim, nie ustawał więc w marszu. Wkrótce ujrzał w oddali snop słonecznego światła i skierował się ku niemu. Zatrzymał się na skraju małej polany, gwałtownie jak wrośnięty w ziemię. Nie wierzył własnym oczom.

Na polanie, obrócony plecami do chłopca, stał jakiś mężczyzna w długiej, błękitnej, atłasowej szacie. Thor wyczuł, że to ktoś niezwykle; może druid. Wysoki, wyprostowany, z głową osłoniętą

kapturem, stał nieruchomo, jakby troski tego świata zupełnie go nie dotyczyły. Thor nie bardzo wiedział, jak się zachować. Słyszał o druidach, ale nigdy żadnego nie spotkał. Znaki na szacie i jej misternie złożone wykończenie świadczyły, że nie jest to żaden zwykły druid: miał na sobie insygnia królewskie, Królewskiego Dworu. Thor nie rozumiał, co ktoś taki może tutaj robić.

Po chwili, która wydawała się trwać wiecznie, druid powoli odwrócił się i spojrzał na niego. Thor zaparło dech w piersiach; rozpoznał tę twarz. Stał przed nim jeden z najslawniejszych ludzi w królestwie: osobisty druid króla, Argon, odwieczny doradca królów Królestwa Zachodu. Już sama jego obecność w gęstwinie Mrocznego Lasu, z dala od Królewskiego Dworu, była zagadkowa. Thor pomyślał, że to chyba jakiś sen.

– Wzrok cię nie myli – powiedział Argon, patrząc mu prosto w twarz. Jego głęboki, prastary głos zabrzmiał, jakby to drzewa do niego przemówiły. Wielkie, przenikliwe jasne oczy zdawały się przewiercać chłopca na wylot, oceniać. Thor poczuł bijącą od druida falę intensywnej mocy, jakby znalazł się nagle w pełnym słońcu. W mgnieniu oka przyklęknął i skłonił głowę.

– Wasza Miłość – wyjąkał. – Wybaczcie, że wam przeszkodziłem.

Brak szacunku wobec doradców królewskich mógł oznaczać więzienie lub nawet śmierć; prawdę tę wpajano Thorowi od maleńkości.

– Wstań, dziecko – rzekł Argon. – Gdybym chciał, żebyś ukląkł, tobym ci powiedział.

Thor wolno powstał i podniósł wzrok na druida. Argon podszedł do niego o kilka kroków. Stał i przyglądał się chłopcu przez dłuższą chwilę, aż ten poczuł zakłopotanie.

– Masz oczy po matce – powiedział Argon.

Zaskoczyło to Thora. Nigdy nie poznał matki ani też poza własnym ojcem nie znał nikogo, kto by ją pamiętał. Powiedziano mu, że umarła przy jego narodzinach, żył więc w wynikającym stąd poczuciu winy. Podejrzewał nawet, że to dlatego najbliżsi go nienawidzą.

– Mylicie mnie z kimś, Wasza Miłość – odpowiedział. – Ja nie mam matki.

– Nie? – Na twarzy Argona pojawił się uśmiech. – Czyżby urodził cię ojciec?

– Chciałem powiedzieć, Wasza Miłość, że moja matka umarła, kiedy się urodziłem. Pewnie mnie z kimś mylicie.

– Jesteś Thorgrin z klanu McLeod. Najmłodszy z czwórki braci. Ten, którego dziś nie wybrali.

Thor otworzył szeroko oczy. Nie wiedział, co o tym myśleć. Nie rozumiał, jakim cudem ktoś tak ważny jak Argon może wiedzieć, kim on jest. Nie śniło mu się nawet, że mógłby go znać ktoś spoza jego wioski.

– Skąd wiecie, panie?

Argon uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Thor poczuł, jak wzbiera w nim ciekawość.

– Skąd... – dodał, szukając słów – skąd wiecie o mojej matce? Znaliście ją? Kim była?

Ale druid już się odwrócił.

– Innym razem – powiedział, odchodząc.

Thor patrzył za nim ze zdziwieniem. Całe to spotkanie było oszałamiające i tajemnicze zarazem; wszystko działo się zbyt szybko. Uznał, że nie może dać Argonowi po prostu odejść i pospieszył za nim.

– Co tutaj robicie, panie? – spytał, próbując dogonić druida. Ten jednak, podpierając się starą laską w kolorze kości słoniowej, szedł zaskakująco szybko. – Nie czekaliście chyba na mnie?

– Na kogóż innego? – odparł Argon. Wchodził coraz głębiej w las, pozostawiając za sobą polanę. Thor przyspieszył, aby się z nim zrównać.

– Ale dlaczego na mnie? Skąd wiedzieliście, że tu będę? Czy mogę się wam na coś przydać?

– Tyle pytań naraz – odrzekł Argon. – Tyle hałasu. Powinieneś więcej słuchać.

Zagłębiali się dalej w gęstą puszcę. Thor podążał za druidem, z całych sił starając się nie odzywać.

– Szukasz tutaj zaginionej owcy – stwierdził Argon. – Szlachetny trud. Ale tracisz tylko czas. Ona nie przeżyje.

Thor znów szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Skąd wiecie, panie?

– Mam wiedzę o mnóstwie spraw, która nie jest ci dana, chłopcze. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Spiesząc za druidem, chłopiec rozważał jego słowa. Tamten ciągnął:

– Nie posłuchasz mnie jednak. Taką już masz naturę. Nieugiętą, jak twoja matka. Pobiegniesz za owcą, zdecydowany ocalić ją za wszelką cenę.

Thor poczerwieniał. Zdawało mu się, że Argon czyta w jego myślach.

– Jesteś zadziorny – dodał druid. – Uparty. Może nazbyt dumny. To skądinąd dobre cechy. Kiedyś jednak mogą przywieść cię do upadku.

Argon zaczął wspinać się po porośniętym mchem stoku, a Thor podążył za nim.

– Chcesz wstąpić do Królewskiego Legionu – stwierdził Argon.

– Tak! – wybuchnął Thor, pełen emocji. – Mam jakieś szanse? Czy możecie sprawić, by tak się stało?

Argon zaniósł się głębokim, głuchym śmiechem, od którego Thorowi ciarki przeszły po plecach.

– Mogę sprawić, że stanie się wszystko albo nic. Twoje przeznaczenie zostało już spisane. Ale to, czy je wypełnisz, zależy od ciebie.

Thor nic nie rozumiał.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, Argon zatrzymał się i obejrzał na chłopca, który przystanął o kilka kroków za nim. Thor znów czuł, jak przeszywa go bijąca od druida moc.

– Twoje przeznaczenie ma niezwykłą wagę – powiedział Argon. – Nie porzucaj go.

Chłopiec nie przestawał się dziwić. Jego przeznaczenie ma niezwykłą wagę? Czuł, jak rośnie w nim duma.

– Nie rozumiem. Mówicie zagadkami, panie. Zechciejcie wyjawić więcej, proszę.

Argon nagle znikł.

Zaskoczony Thor nie wierzył własnym oczom. Zaczął rozglądać się wokół, nasłuchując. Czy to wszystko tylko mu się przyśniło? Czy była to jakaś sztuczka wyobraźni?

Odwrócił się i zbadał wzrokiem puszcę. Z tej wyniosłości widział o wiele dalej niż przedtem. W oddali dostrzegł jakiś ruch. Dobiegł go też odgłos, który brzmiał jak kwilenie owcy.

Potyając się, chłopiec ruszył biegiem po omszałym zboczu w kierunku, z którego dobiegał odgłos, z powrotem w gęstwinę. Nie przestawał jednak myśleć o spotkaniu z Argonem. Ledwo pojmował, że coś takiego w ogóle się zdarzyło. Co tu robił królewski druid? Tu, ze wszystkich możliwych miejsc? Czekał na niego? Czemu? I co miał na myśli, mówiąc o jego przeznaczeniu? Im bardziej starał się rozwikłać tę zagadkę, tym mniej rozumiał. Argon z jednej strony ostrzegał go, aby nie podążał dalej, z drugiej strony zachęcał go do działania. Im dłużej Thor biegł, tym bardziej narastało w nim przeczucie, że za chwilę wydarzy się coś doniosłego.

Skreślił za jednym z drzew i nagle stanął jak wryty na widok otwierający się przed jego oczami. W jednej chwili urzeczywistniły się wszystkie jego koszmary. Włosy stanęły mu dęba i zdał sobie sprawę, że zagłębiając się tak daleko w Mroczny Las, popełnił śmiertelny błąd.

O jakieś trzydzieści kroków przed nim na czterech silnych łapach stał sybold. Potężnie umięśniony, wielkości rosnącego konia, wyglądał na najbardziej przerażające zwierzę w Mrocznym Lesie, może nawet w całym królestwie. Choć Thor widział go pierwszy raz w życiu, rozpoznał go natychmiast; słyszał o nim dużo legend. Przypominał znanego chłopcu z rozmaitych wizerunków lwa, ale musiał być o wiele większy. Ślepiea żarzyły mu się żółta poświata, a jego skóra miała barwę głębokiego szkarłatu – jak głosiły legendy, od koloru krwi pożeranych niewiniątek. Thor słyszał niewiele opowieści o spotkaniu z tym zwierzęciem, a i te traktowano z przymrużeniem oka, może dlatego, że nikomu nie udało się napotkać potwora i przeżyć. Niektórzy uznawali go za boga puszczy

albo za jakiś znak czy omen. Jeśli w istocie tak było, Thor wołał nie wyobrażać sobie, co ten znak zapowiada.

Ostrożnie cofnął się o krok.

Z paszczą po części rozwartą i kłami ociekającymi śliną, sybold wbijał w chłopca spojrzenie swoich żółtych ślepi. W paszczy potwora, przeszyta jego zębiskami, zwisała głową w dół zaginiona owca Thora; dogorywała, kwiląc przeraźliwie. Najwyraźniej sybold pastwił się nad nią, nie spiesząc się zbytnio, jakby ból ofiary sprawiał mu przyjemność. Jej kwilenie trudno było znieść. Wiła się bezradnie, a chłopiec czuł na sobie ciężar winy; to przez niego cierpiała. W pierwszym odruchu chciał się odwrócić i uciec, ale wiedział, że byłaby to daremna próba. Sybold doścignąłby każdego, a ucieczka tylko by go zachęciła. Poza tym Thor nie mógł skazać owcy na tak okrutny koniec.

Stał zdjęty strachem, ale wiedział, że musi coś zrobić. Instynktownie sięgnął do woreczka u pasa, ujął kamień i umieścił go w procy. Drżącą ręką zamachnął się, dał krok naprzód i wypuścił pocisk, który śmignął w powietrzu i trafił w cel. Rzut był idealny: kamień uderzył owcę w ślepie i wbił się głęboko pod czaszkę. Owca zwisała bezwładnie, martwa; Thor skrócił jej męki.

Wściekły, że chłopiec ośmielił się zepsuć mu igraszkę, sybold przeszył go wzrokiem. Powoli rozwarł monstrualne szczęki i wypuścił owcę, która spadła na ziemię z głuchym pacnięciem. Nie odrywając ślepi od Thora, warknął złowrogo, głęboko, jakby prosto z trzewi, i z wolna ruszył ku chłopcu. Ten, z walącym w piersi sercem, umieścił kolejny kamień w procy i znów wziął mocny zamach. Wtem sybold zaszarżował, szybki jak piorun. Chłopiec postąpił o krok naprzód i cisnął kamień, modląc się, aby trafić; wiedział, że nie ma czasu na kolejny rzut.

Pocisk uderzył stwora wprost w prawe oko, na wpół go oślepiając. Powaliłoby to każde mniejsze zwierzę, ale nie sybolda, który ryknął z bólu, lecz nie zatrzymał się i jednym susem znalazł przed bezbronnym Thorem. Wielkimi pazurami smagnął chłopca w ramię i trzy szpony naraz, ostre jak brzytwy, przecięły skórę chłopca. Z rany trysnęła krew, a Thor wrzasnął i upadł. Bestia natychmiast całym ciałem przygniotła go do ziemi; ciężar był nie do zniesienia, jakby zwałił się na niego potężny głaz. Thor czuł, że zaraz pękną mu żebra. Potwór zaś rzucił łbem, rozwarł paszczę i sięgnął obnażonymi kłami ku gardłu chłopca. Ten wyprostował ręce i chwycił stwora za gardziel, twardą jak jeden potężny mięsień. Po chwili ręce zaczęły drżeć mu z wysiłku, a kły zwierzęcia zbliżać się coraz bardziej. Czuł już na twarzy smrodliwy dech sybolda i ślinę spływającą mu z paszczy. Zwierz wydał głęboki, donośny, raniący uszy pomruk, a Thor poczuł, że za chwilę zginie, i zamknął oczy.

Proszę, Boże. Dodaj mi sił. Daj mi pokonać tego stwora. Błagam. Zrobię wszystko, co zechcesz. Będę spłacał Ci dług do końca moich dni.

Wówczas stało się coś niezwykłego. Thor poczuł, że wzbiera w nim fala olbrzymiego gorąca, a w żyłach pulsuje mu jakaś potężna moc, wypełniająca całe jego ciało. Otworzył oczy i ze zdumieniem spostrzegł, że z dłoni bije mu dziwne żółte światło. Napierając na gardziel sybolda, czuł, że teraz dorównuje mu siłą i jest w stanie odepchnąć jego kły. Napierał więc dalej, czując, że odpycha bestię coraz dalej. Jego moc rosła, aż poczuł potężne wyładowanie, które odrzuciło sybolda o dobre dziesięć stóp. Bestia padła z impetem na grzbiet.

Thor usiadł, nie rozumiejąc, co się właściwie stało.

Sybold poderwał się na równe nogi i zaszarżował ponownie. Tym razem jednak Thor czuł się inaczej. Całe jego ciało przepełniała siła, jakiej nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Gdy bestia skoczyła, chłopiec przykucnął, chwycił ją pod brzuchem i cisnął daleko, wykorzystując jej własny impet.

Stwór wleciał w gęstwinę, uderzył w pień drzewa i padł na ziemię.

Thor gapił się na to z niedowierzaniem. Czyżby właśnie cisnął syboldem?

Zwierzę mrugnęło powiekami, po czym utkwilo ślepie w Thorze i zaszarżowało jeszcze raz.

Tym razem, kiedy skoczyło na chłopca, ten chwycił je za gardziel i razem wyładowali na ziemi. Początkowo przygnieciony, Thor przetoczył się tak, że teraz on znalazł się nad syboldem. Przytrzymując potwora, chłopiec zaczął go dusić, choć ten próbował unieść łeb i kłapał zębami,

chybiając o włos. Czując przypływ nowej mocy, Thor z całej siły ścisnął gardziel stwora i nie popuszczał. Poddął się krążącej w sobie energii. Z zachwytem poczuł pewność, że jest silniejszy od zwierzęcia. Dusił sybolda, aż ten zwiotczał mu w rękach, ale Thor nie zwalniał uścisku jeszcze przez bardzo długą chwilę.

W końcu powoli wstał, ciężko łapiąc oddech, i ze zdziwieniem spojrzał na swoją zranioną rękę. To, co się właśnie stało, było nie do wiary. Zabił sybolda – on, Thor!

Poczuł, że w ten szczególny dzień musi to być dla niego jakiś znak. Oto zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Właśnie pokonał najsłynniejszą, najstraszliwszą bestię w całym królestwie. W pojedynkę, niemal gołymi rękami. To było jak sen. Wiedział, że nikt mu nie uwierzy.

Kręciło mu się w głowie. Zastanawiał się, jaka to moc nim zawładnęła; co to może oznaczać; kim naprawdę jest. Jedynymi znanymi mu ludźmi, którzy posiadali podobne moce, byli druidzi. Tyle że jego rodzice nie byli druidami, więc nie mógł być druidem.

A może mógł?

Wyczuwając za sobą czyjąś obecność, błyskawicznie obrócił się na pięcie i zobaczył Argona, który stał za nim i wpatrywał się w martwego sybolda.

– Skąd się tutaj wzięliście, Wasza Miłość? – spytał Thor, zaskoczony, ale Argon zbył go milczeniem. – Widzieliście, co się stało? – ciągnął chłopiec z niedowierzaniem w głosie. – Sam nie wiem, jak to zrobiłem.

– Ależ wiesz – odparł Argon. – W głębi serca wiesz. Nie jesteś taki jak inni.

– To był jakby... nagły przypływ mocy – powiedział Thor. – Jak jakaś siła, o której nie wiedziałem, że ją mam.

– Wewnętrzna siła magiczna – potwierdził Argon. – Pewnego dnia poznasz ją całkiem dobrze. Może nawet nauczysz się nad nią panować.

Thor chwycił się za ramię; niemal zapomniał o zranieniu, tymczasem ból nagle powrócił, i to straszny. Chłopiec obejrzał rękę; cała ociekała krwią. Zakręciło mu się w głowie i przejął się, co będzie, jeśli ktoś mu szybko nie pomoże.

Argon w trzech krokach znalazł się przy nim, chwycił go za drugą dłoń i przycisnął mocno do rany. Przytrzymując ją w ten sposób, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Thor poczuł ciepłe mrowienie rozchodzące się w całej ręce. Po chwili lepka krew płynąca z ran wyschła, a ból zaczął mijać.

Chłopiec przyjrzał się ręce, nie mogąc pojąć, co się stało: była uleczona. Zostały na niej tylko ślady pazurów, trzy szramy w miejscu przecięcia skóry; były jednak zbliznione, jakby miały już wiele dni. Po krwi nie było śladu.

Thor spojrzał na Argona z niedowierzaniem.

– Jak to zrobiliście, panie? – zapytał.

Argon jedynie się uśmiechnął:

– Nie ja to zrobiłem, lecz ty. Ja tylko pokierowałem twoją mocą.

– Przecież ja nie mam mocy uzdrawiania – zmieszał się Thor.

– Czyżby? – odparł Argon.

– Nic nie rozumiem. Co to wszystko znaczy? – Thor czuł narastające zniecierpliwienie. – Panie, powiedzcie mi, proszę was.

Argon odwrócił wzrok:

– Na wszystko przyjdzie pora.

Nagle chłopcu przyszło coś na myśl.

– Czy to znaczy, że mogę wstąpić do Królewskiego Legionu? – zapytał podniecony. – Skoro potrafię zabić sybolda, to ani chybi dam radę innym chłopcom.

– Ani chybi – zgodził się druid.

– Tyle że moi bracia zostali wybrani... a ja nie.

– Twoi bracia nie pokonaliby tej bestii.

Thor spojrzął na niego, myśląc intensywnie.

– Ale już raz mnie odrzucili. Jakże mam do nich dołączyć?

– Od kiedy to wojownik potrzebuje zaproszenia? – odpowiedział Argon.

Słowa druida powoli dotarły do Thora. Poczuł się nagle rażniej.

– Czyli mam się u nich zjawić ot tak, nieproszony?

Argon uśmiechnął się znowu.

– Panem twego przeznaczenia jesteś ty sam. Nikt inny.

Nim Thor zdążył mrugnąć, Argon rozplątał się w powietrzu. Chłopiec rozglądał się dookoła i miotał po okolicznej gęstwinie, ale po druidzie nie było ani śladu.

– Tutaj! – usłyszał nagle czyjś okrzyk.

Thor zwrócił się w stronę, z której dobiegł ten głos. Zobaczył przed sobą olbrzymi głaz i uznał, że okrzyk musiał dobiec z jego szczytu. Chłopiec szybko wspiął się na skałę, ale Argona tam nie zastał. Ze szczytu głazu rozciągał się za to widok na całą puszcę. Thor widział krańce Mrocznego Lasu, ciemnozieloną poświatę drugiego słońca zachodzącego właśnie za horyzont, a na przeciwległym widnokregu – trakt wiodący do Królewskiego Dworu.

– To może być twoja droga – rozległ się ponownie ten sam głos – o ile się odważysz.

Thor odwrócił się gwałtownie, ale nie było przy nim nikogo; tylko ów głos przez chwilę jeszcze niósł się echem ponad puszcza. Chłopiec wiedział jednak, że to sam Argon, choć gdzieś ukryty, popycha go do działania. I czuł w głębi serca, że druid ma rację.

Bez dalszego wahania zsunął się ze skały i ruszył przez puszcza w stronę odległego traktu, spiesząc ku swemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na najwyższych wałach zamku, u boku królowej, stał król MacGill – korpulentny, barczysty, z brodą przetykaną siwizną zbyt gęsto jak na człowieka tej postury, z szerokim czołem przeorany zmarszczkami pozostawionymi przez zbyt liczne bitwy – i przyglądał się przygotowaniom do zabawy i świętowania, które zaplanowano na ten dzień. Ziemie dworskie w całej okazałości rozpościerały się pod nim, jak okiem sięgnąć, aż po starożytne, kamienne mury otaczające jego kwitnący gród: Królewski Dwór. Wszelkiego rozmiaru i kształtu budynki, połączone istnym labiryntem ulic, dawały schronienie wojownikom, służącym, Srebrnym, członkom Legionu i straży; były wśród nich baraki, stajnie, skład broni i inne magazyny. Pośród nich zaś widniały setki pomniejszych domostw tych jego poddanych, którzy zechcieli zamieszkać w granicach miejskich murów. Liczne zagony zieleni, królewskie ogrody, kamienne place i tryskające fontanny dopełniały piękna widoku. Rozwój Królewskiego Dworu trwał od stuleci – dbał o to jeszcze jego ojciec, a przed nim jego dziad i pradziad, i gród był obecnie u szczytu swej chwały. Była to niewątpliwie najbezpieczniejsza twierdza w całym Zachodnim Królestwie Kręgu.

Królowi dane było cieszyć się z najwspanialszych i najbardziej oddanych wojowników, jacy kiedykolwiek komukolwiek służyli; może dlatego też w jego czasach nikt nie ośmielił się zaatakować jego ziem. Był siódmym królem z rodu MacGillów i władał królestwem mądrze i roztropnie od trzydziestu dwóch lat. Pod jego rządami kraj rozkwitał, armia dwukrotnie zwiększyła swą liczebność, miasta rozwijały się, przynosząc obfity zysk, a wśród ludu daremnie byłoby szukać powodów do niezadowolenia. Król znany był ze swej szczodrości, zaś w całej historii królestwa nie znano równie długiego okresu dostatku i pokoju, jak za jego panowania.

Osobliwie, właśnie z tego powodu MacGill po nocach nie mógł zmrużyć oka. Wiedział bowiem z historii królestwa, że tak długi okres bez wojny jest czymś niezwykle. Nie zastanawiał się zatem, czy jakiś atak nastąpi, tylko raczej kiedy – i kto okaże się agresorem.

Największa groźba pochodziła oczywiście spoza Kręgu, od imperium barbarzyńców rządzącego odległymi terenami Dzikich, które podporządkowało sobie wszystkie ludy poza Kręgiem, po drugiej stronie Kanionu. Ale ani MacGill, ani żaden z jego przodków, od siedmiu pokoleń noszących to nazwisko, nie zetknął się bezpośrednio z zagrożeniem ze strony barbarzyńców z Dzikich. Obawy przed nimi były znikome, bo królestwu sprzyjało położenie w Kręgu, przypominającym kształtem idealny okrąg czy też pierścień, który od reszty świata dzielił głęboki, szeroki na milę Kanion, chroniony tarczą mocy, działającą nieprzerwanie, od kiedy na tronie zasiadł pierwszy MacGill. Barbarzyńcy nieraz przypuszczali ataki, próbując przebić się przez tarczę i przekroczyć Kanion, ale nigdy im się nie udało. Dopóki tylko MacGill i jego poddani pozostawali w Kręgu, nie zagrażało im nic z zewnątrz.

Nie oznaczało to jednak końca wszelkich zagrożeń; pozostawały te wewnętrzne. To właśnie one spędzały królowi sen z powiek w ostatnim czasie. One też stały u podstaw przygotowań do dzisiejszego święta: zaślubin jego najstarszej córki. Miało to być małżeństwo aranżowane; król skojarzył młodą parę specjalnie dla załagodzenia stosunków z wewnętrznymi wrogami i utrzymania niepewnego pokoju między Wschodnim i Zachodnim Królestwem Kręgu.

Terytorium Kręgu rozpościerało się na dobre pięćset mil w każdym kierunku, a w połowie, z północy na południe, przedzielone było pasmem górskim, noszącym nazwę Pogórza. Za nim leżało Królestwo Wschodu, obejmujące drugą połowę Kręgu. Królestwo to od wieków pozostawało we władaniu rywali MacGillów – rodu McCloudów, którzy za wszelką cenę dążyli do zerwania kruchego rozejmu zawartego z MacGillami. Wiecznie niezadowoleni, rozgoryczeni losem, jaki przypadł im w udziale, byli święcie przekonani, że ich królestwo leży na gorszych, mniej urodzajnych ziemiach. Kwestionowali również przynależność Pogórza, twierdząc, że w całości należy do nich, mimo że

przynajmniej połowa jego terenów pozostawała pełnoprawną własnością MacGillów. Prowadziło to do częstych pogranicznych potyczek i podtrzymywało stałą groźbę inwazji.

MacGill rozmyślał o tym wszystkim z coraz większą irytacją. McCloudowie powinni być szczęśliwi; bezpieczni wewnątrz Kręgu, chronieni przez Kanion, żyli na żyznych ziemiach bez jakichkolwiek obaw. Dlaczego nie potrafili zadowolić się swoją połową Kręgu? Jedyne wzmocnieniu i rozbudowaniu swojej armii MacGill zawdzięczał to, że pierwszy raz w historii McCloudowie nie śmieli atakować jego ziem. Ale roztropny król przeczuwał, że na coś się zanosi; wiedział, że taki pokój nie może potrwać długo. To dlatego doprowadził do małżeństwa swej najstarszej córki z najstarszym królewiczem z rodu McCloudów. I oto nadszedł dzień ich zaślubin.

Król spojrzał w dół i zobaczył tysiące poddanych w tunikach o jaskrawych barwach, którzy przybywali z najodleglejszych zakątków królestwa, z obu stron Pogórza. Mieszkańcy niemal całego Kręgu wlewali się wielką falą wprost do jego grodu. Przygotowania zajęły długie miesiące. Ludziom przykazano, aby wszystko wyglądało wystawnie i solidnie. Dzień ten miał być czymś więcej niż tylko dniem zaślubin; miał być również przesłaniem dla McCloudów.

MacGill taksował wzrokiem setki swoich żołnierzy porozmieszczanych w strategicznych miejscach wałów i na ulicach – a miał ich więcej niżli mógł kiedykolwiek potrzebować – i był im rad. Taki właśnie pokaz siły zaplanował. Czuł też jednak napięcie; atmosfera w całym mieście była nerwowa i sprzyjała rozruchom. Miał nadzieję, że żadni rozochoceni trunkiem pieniacze ani jednej, ani drugiej strony nie zakłócą przebiegu ceremonii. Przyjrzał się placom przygotowanym na igrzyska i turnieje, myśląc o nadchodzącym dniu, pełnym różnorodnych rozrywek. To będzie ciężki dzień. McCloudowie z pewnością przybędą w otoczeniu własnej małej armii i każde turniejowe starcie, każda walka, każda konkurencja będą miała znaczenie. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, może się to przerodzić w prawdziwą bitwę.

– Królu mój?

Poczuł dotyk delikatnej dłoni i, obróciwszy się, spojrzał na Kreę, swą królową, nadal najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział. Pozostawała z nim szczęśliwie w związku od początku jego panowania, obdarowując go pięciorgiem dzieci, w tym trzema synami, nigdy na nic się nie skarżąc. Co więcej, z czasem stała się jego najbardziej zaufanym powiernikiem. Z upływem lat MacGill przekonał się też, że jest roztrośniejsza od wszystkich jego doradców razem wziętych. Nawet od niego samego.

– To będzie dzień politycznych układów – powiedziała – ale i dzień zaślubin naszej córki. Spróbuj się nim nacieszyć. Drugi raz się nie zdarzy.

– Mniej się martwiłem, kiedy nic nie miałem – odpowiedział. – Teraz, gdy mamy wszystko, wszystko jest też przyczyną utrapień. Jesteśmy bezpieczni, a mimo to nie czuję się bezpiecznie.

Spojrzała na niego ze współczuciem swymi wielkimi, orzechowymi oczami, które wyglądały, jakby zebrała się w nich cała mądrość świata. Powieki miała nieco opuszczone, jak zwykle zresztą, co nadawało senny wyraz jej twarzy, po której obu stronach opadały swobodnie piękne i proste kasztanowe włosy, poprząsane gdzieś tam srebrnymi nitkami. Miała może o kilka zmarszczek więcej, niż kiedy ją poślubił, ale dla niego nic a nic się nie zmieniła.

– Bo w gruncie rzeczy nie jesteś bezpieczny – powiedziała. – Żaden król nie jest. Na naszym dworze kryje się więcej szpiegów, niż chciałbyś wiedzieć. Taka już natura rzeczy.

Przechyliła się, aby go ucałować, i uśmiechnęła się.

– Spróbuj się cieszyć tym dniem – powiedziała. – To w końcu także wesele.

To rzekłszy, odwróciła się i podążyła w dół wałów.

Patrzył za nią, jak schodzi, po czym raz jeszcze objął spojrzeniem swój dwór. Królowa miała rację; jak zawsze. Naprawdę pragnął radować się tym dniem. Kochał przecież swoją najstarszą córkę, a to w istocie miało być wesele – w najpiękniejszym dniu najpiękniejszej pory roku, kiedy wiosna włada światem w najlepsze, ustępując jednak pierwszemu oznakom lata, i kiedy obydwie słońca tańczą na niebie w idealnej harmonii, a na twarzy czuje się delikatne powiewy wiatru. Cały świat promieniał

w rozkwicie, a drzewa mieniły się setką odcieni różu, purpury, pomarańczy i bieli. Niczego nie pragnął bardziej niż tego, by móc usiąść wśród swoich poddanych, patrząc na zaślubiny córki i pijąc piwo do syta.

Nie było mu to jednak dane. Czekala na niego jeszcze długa lista obowiązków i zanim choćby opuści podwoje swego zamku, musi dopilnować wielu spraw. Dzień zaślubin córki oznaczał dla króla nawał pracy: musiał spotkać się z radą, ze swymi dziećmi oraz zastępami suplikantów, którzy akurat tego dnia mieli szczególne prawo do audyencji. Będzie mieć szczęście, jeśli uda mu się w ogóle opuścić zamek na czas, by zdążyć na ceremonię rozpoczynającą się o zmierzchu.

*

Zeszedłszy z wałów, MacGill, odziany w najwspanialszy królewski strój – czarne aksamitne spodnie, złoty pas, królewską tunikę utkaną z najdelikatniejszego purpurowego i złotego jedwabiu, białą opończę i błyszczące, skórzane buty z cholewami – z głową w koronie, bogato zdobionym złotym otoku z wielkim rubinem osadzonym pośrodku – przemierzał zamkowe sale w otoczeniu swej świty. Zamaszystym krokiem mijał kolejne pokoje, skrótem przez królewskie komnaty i wielką aulę o niebosiężnym łukowym sklepieniu i ścianach zdobnych w liczne witraże. W końcu dotarł do wiekowych, dębowych wrót sali tronowej, grubych jak mocarny pień. Dworzanie otworzyli je i odstąpili w bok.

Kiedy wszedł do środka, a drzwi zamknęły się za nim z hukiem, jego doradcy powstali z miejsc i wyprężyli się na powitanie.

– Możecie spocząć – rzekł trochę ostrzej niż miał w zwyczaju. Był zmęczony, zwłaszcza tego dnia, niekończącymi się nigdy formalnościami związanymi z zarządzaniem królestwem. Chciał jak najszybciej mieć je już za sobą.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez salę tronową, która nigdy nie przestawała go zachwycać. Jej sklepienie wznosiło się pięćdziesiąt stóp nad ziemią, zaś jedną ze ścian w całości zdobił ogromny witraż. Podłogi i ściany wykonano z litego kamienia, grubego na stopę. Sala mogła bez trudu pomieścić i stu dostojników. Ale w dni takie jak ten, kiedy odbywały się spotkania rady królewskiej, w przepastnym pomieszczeniu gościł jedynie król i garstka jego doradców. W sali rzucał się w oczy ogromny stół w kształcie podkowy, za którym właśnie oczekiwali doradcy.

Król wkroczył dumnie od otwartej strony stołu, kierując się przez widniejące pośrodku przejście ku miejscu, w którym stał jego tron. Wszedł po kamiennych stopniach, minął wyrzeźbione w złocie lwy i opadł na czerwoną aksamitną poduszkę, która wyściełała tron wykuty w całości ze złota. Siadywał tu jego ojciec, a przedtem jego dziad, pradziad i wszyscy jego przodkowie z rodu MacGillów. Kiedy usiadł, poczuł, jak przytłacza go ciężar minionych wieków i pokoleń.

Omiótł wzrokiem przybyłych doradców. Byli wśród nich Brom, najznakomitszy z jego generałów i jego doradca w sprawach wojskowych; Kolk, generał chłopięcego Legionu; Aberthol, najstarszy ze zgromadzonych, uczony historyk, mentor królów od trzech pokoleń, i Firth, doradca w sprawach wewnętrznych dworu, chudy człowiek o krótko przyciętych siwych włosach i głęboko osadzonych oczach, którymi nawet na chwilę nie przestawał strzelać na boki. MacGill nigdy tak naprawdę nie ufał Firthowi, nie rozumiał nawet, na czym polega jego praca, jednakże zarówno jego ojciec, jak i dziad utrzymywali doradcę do spraw dworu, więc i on, z szacunku dla przodków, zachował to stanowisko. Wśród zgromadzonych byli też Owen, królewski skarbnik; Bradaigh, doradca w sprawach zewnętrznych; Earnan, poborca danin i podatków; Duwayne, służący radą w sprawach poddanych, i Kelvin, przedstawiciel rodów szlacheckich.

Król cieszył się oczywiście władzą absolutną, ale jego królestwo miało z gruntu liberalny charakter. Jego przodkowie zawsze szczycili się tym, że rody szlacheckie królestwa mogą wyrażać swój głos we wszelkich sprawach za pośrednictwem przedstawiciela zasiadającego w radzie. Patrząc jednak z perspektywy historycznej, równowaga sił między majestatem króla i wysoko urodzonymi była mocno chwiejna. Choć teraz panowała zgoda i harmonia, w przeszłości zdarzały się powstania i walki o władzę.

Przyglądając się doradcom, MacGill zorientował się, że kogoś brakuje – akurat tego, z kim najbardziej pragnął zamienić słowo: Argona. Jak zwykle nie dało się przewidzieć, gdzie i kiedy się pojawi. Doprowadzało to króla do szewskiej pasji, ale nie miał innego wyjścia, niż to zaakceptować. Druidzi żyli swoim własnym zagadkowym życiem. Mimo to nieobecność Argona na sali wzmogła jeszcze niecierpliwość MacGilla. Chciał mieć już to za sobą i zająć się tysiącem innych spraw czekających na niego jeszcze przed ceremonią zaślubin.

Jego doradcy siedzieli przy półkolistym stole rozmieszczeni co dziesięć stóp na krzesłach z wiekowego dębu o misternie rzeźbionych podłokietnikach.

– Wasza Wysokość, jeśli łaska – zaczął Owen.

– Mów. Tylko krótko. Nie mam dziś wiele czasu.

– Córka Waszej Wysokości otrzyma dziś wiele podarunków, które, jak wszyscy mamy nadzieję, wypełnią po brzegi jej szkatułę. Tysiące ludzi złoży hołd jej i wam, składając dary wprost w królewskie ręce, a zapelniając karczmy i zamtuzy, także pomoże wypełnić szkatułę królestwa. Przygotowania do dzisiejszej uroczystości znacznie też jednak uszczuplą zasoby królewskiego skarbcu. Dlatego doradzam zarządzenie dodatkowego podatku pobieranego tak od ludu, jak i od wysoko urodzonych. Ot, jednorazowa danina, która pozwoli zmniejszyć obciążenia związane z tak znakomitą uroczystością.

MacGill dostrzegł troskę na twarzy skarbnika i poczuł aż ucisk w żołądku na myśl o topniejącym skarbcu. Mimo to nie zamierzał wprowadzić kolejnego podatku.

– Lepiej mieć pustki w skarbcu, lecz lojalnych poddanych – odrzekł. – Naszym bogactwem jest ich dobrobyt. Nie wprowadzimy nowych obciążeń.

– Ależ Wasza Wysokość, jeśli nie...

– Już podjąłem decyzję. Co jeszcze?

Owen osunął się na oparcie krzesła, wyraźnie zawiedziony.

– Mój królu – odezwał się Brom swoim niskim głosem – zgodnie z twoim rozkazem z okazji dzisiejszego wydarzenia rozmieściliśmy większość naszych sił w obrębie dworu. Jest to niewątpliwie imponujący pokaz siły. Oznacza on jednak, że liczebność naszych oddziałów w całej reszcie królestwa ulega zmniejszeniu. Jeśli nastąpi jakiś atak gdziekolwiek poza Królewskim Dworem, będziemy bezradni.

MacGill skinął głową, zastanawiając się przez chwilę.

– Póki nasi wrogowie u nas biesiadują, nie ukąszą ręki, która ich karmi.

Rozległ się śmiech zgromadzonych.

– Jakże wieści z Pogórza?

– Od tygodni nie było doniesień o żadnych wrogich działaniach. Oddziały pewnie wycofały się w przygotowaniu do zaślubin. Być może gotowi są zawrzeć pokój.

MacGill nie był jednak tego taki pewien.

– Może to znaczyć, że planowane zaślubiny zaczynają spełniać nasze oczekiwania albo też że wróg czai się, aby napaść na nas kiedy indziej. A twoim zdaniem, stary druhu – tu król obrócił się w stronę Aberthola – co jest bardziej możliwe?

Aberthol odkaszlnął i rzekł zachrypłym głosem:

– Wasza Miłość... ani wasz ojciec, ani jego ojciec przed nim nigdy nie ufali McCloudom. To, że teraz McCloudowie drzemią, nie znaczy jeszcze, że się nie obudzą.

MacGill skinął głową w podziękowaniu za ten sąd.

– A co z Legionem? – spytał, zwracając się do Kolka.

– Dziś powitaliśmy nowych rekrutów – odpowiedział generał, skłoniwszy szybko głowę.

– Wśród nich i mego syna? – upewnił się król.

– Z dumą stanął wśród pozostałych; wspaniałały chłopiec.

MacGill ponownie skinął głową i tym razem zwrócił się do Bradaigha:

– A jakie wieści spoza Kanionu?

– Wasza Miłość, w ostatnich tygodniach nasze patrole częściej odnotowywały próby przekroczenia Kanionu. Może to oznaczać, że barbarzyńcy z Dzikich mobilizują się do ataku.

Wśród członków rady przeszedł szmer. Na samą myśl o ataku MacGill poczuł niepokój. Choć tarcza mocy była nie do przebycia, tego rodzaju wieści nie wróżyły dobrze.

– A jeśli przypuszczają zmasowany atak? – zapytał.

– Dopóki tarcza działa, nie mamy się czego obawiać. Barbarzyńcy próbują przekroczyć Kanion od wieków, wciąż na próżno. Nie ma powodu sądzić, że coś się w tym względzie zmieni.

MacGill nie był tego taki pewien. Najazdu spoza granic królestwa należało się spodziewać już dawno. Nie potrafił się nie zastanawiać, kiedy miałyby on nastąpić.

– Wasza Wysokość – odezwał się Firth swym nosowym głosem – czuję się w obowiązku przypomnieć, że dwór gości wielu dostojników przybyłych z królestwa McCloudów. Uznano by za zniewagę, gdybyś się z nimi nie spotkał, bez względu na to, czy są naszymi sprzymierzeńcami, czy też rywalami. Radziłbym, byś poświęcił popołudnie na przywitanie każdego z nich z osobna. Przybyli z liczną świtą, wieloma podarkami oraz, jak wieść niesie, z całym zastępem szpiegów.

– Kto nam zaręczy, że szpiegów nie było tu już wcześniej? – odparł MacGill, rzucając Firthowi badawcze spojrzenie i zastanawiając się jak zwykle, czy on sam nie jest przypadkiem jednym z nich. Firth otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale król westchnął tylko i uniósł dłoń na znak, że ma już dosyć. – Jeśli to wszystko, opuszczę was teraz przygotować się do ślubu mojej córki.

– Wasza Miłość – powiedział Kelvin i odchrząknął. – Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Tradycja związana z zaślubinami najstarszego królewskiego potomka. Dotychczas każdy MacGill wyznaczał wtedy swego następcę. Poddani oczekują, że postąpisz podobnie. Niecierpliwą się. Roztropnie byłoby ich nie zawieść. Zwłaszcza kiedy Miecz Przeznaczenia nadal spoczywa nietknięty.

– Mam wyznaczyć następcę, choć jestem jeszcze w kwiecie sił? – zapytał MacGill.

– Wasza Miłość, nie chciałem was obrazić – zająknął się Kelvin z wyrazem niepokoju na twarzy. Władca ponownie uniósł dłoń.

– Znam tradycję. I, w rzeczy samej, wyznaczę swego następcę jeszcze dziś.

– Czy Wasza Wysokość raczy nas oświecić, kto nim będzie? – spytał Firth.

MacGill zmierzył go spojrzeniem pełnym irytacji. Firth znany był z długiego języka i król nie ufał mu za grosz.

– Dowiedcie się, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Król powstał z tronu, a w ślad za nim poderwali się jego doradcy. Skłonili się, odwrócili i w pośpiechu opuścili salę.

MacGill jeszcze przez dłuższą chwilę stał w samotnej zadumie. W dni takie jak ten żałował, że musi być królem.

*

MacGill zszedł po stopniach z tronowego podwyższenia. W ciszy panującej wokół słychać było tylko rozbrzmiewające echem kroki króla, który skierował się ku dębowym drzwiom z boku sali. Otworzył je własnoręcznie szarpnięciem za żelazną klamkę i wszedł do bocznej komnaty.

Lubił spokój i samotność, które od zawsze zapewniało mu to przytulne pomieszczenie. Choć komnata mierzyła nie więcej niż dwadzieścia kroków w każdą stronę, wieńczyło ją wysokie łukowate sklepienie. Zbudowana w całości z kamienia, miała na jednej ze ścian małe okrągłe okno przesłonięte witrażem. Wlewało się przez nie światło, zabarwiając na żółto i czerwono jedyną rzecz, która znajdowała się w pustej poza tym izbie.

Miecz Przeznaczenia.

Spoczywał poziomo w samym środku komnaty, oparty na żelaznych wspornikach niby leżąca kusicielka. MacGill podszedł do niego i okrążył go, przyglądając mu się uważnie. Robił tak zawsze, od kiedy był dzieckiem. Miecz Przeznaczenia, miecz legenda, źródło siły i potęgi całego królestwa od wielu pokoleń. Komukolwiek uda się go podźwignąć, zostanie Wybrańcem, władcą królestwa na całe życie, pogromcą wszelkich zagrożeń, które czyhają wewnątrz Kręgu i poza nim. Pięknie było

dorastać w cieniu tej legendy i kiedy tylko MacGill został namaszczonej na króla, sam spróbował unieść ów miecz. Jedynymi bowiem, którym pozwalano podejmować tę próbę, byli królowie z rodu MacGillów. Wszyscy jego poprzednicy próbowali szczęścia; żadnemu się nie powiodło. On jednak pewien był, że różni się od innych. Że to on sam okaże się Wybrańcem.

Mylił się jednak, podobnie jak wszyscy poprzedni królowie z rodu MacGillów. Jego porażka zaś położyła się cieniem na całym jego późniejszym panowaniu.

Wpatrując się teraz w miecz, MacGill oglądał uważnie jego długą głownię, wykutą z metalu, którego nikt dotychczas nie rozpoznał. Jeszcze większą zagadką było pochodzenie oręża; powiadano, że podczas trzęsienia ziemi wyłonił się z jej głębi.

MacGill kolejny raz odczuł gorzkość swej porażki. Wiedzieli o niej zarówno jego poddani, jak i jego wrogowie. Może i był dobrym królem, ale nie jest i nigdy nie będzie Wybrańcem. Przypuszczał, że gdyby nim był, jego dwór przestałby nękać niepokoje, spiski i knowania. Własny lud ufałby mu bardziej, a wrogom do głowy by nie przyszło najeżdżać jego ziemie. Jakąś częścią duszy pragnął, by ten miecz rozpląnął się w powietrzu wraz ze swą legendą. Wiedział jednak, że tak się nie stanie. Na tym polegała klątwa – i moc – każdej legendy. Była to moc potężniejsza nawet od całej armii.

Spoglądając po raz tysięczny na Miecz Przeznaczenia, MacGill mimo woli zadawał sobie pytanie, kto taki okaże się Wybrańcem, komu z jego rodu przeznaczone jest władać tym orężem. Rozmyślając o czekającym go zadaniu i wyznaczeniu następcy tronu, zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie komuś dane podźwignąć ten miecz.

– A wielki jest to ciężar – odezwał się nagle czyjś głos.

MacGill odwrócił się na pięcie, zaskoczony niespodziewanym towarzystwem. W drzwiach komnaty stał Argon. MacGill poznał głos, nim jeszcze zobaczył druida; był zarazem zły, że Argon nie przybył wcześniej, i rad, że jest tu teraz.

– Spóźniłeś się – powiedział król.

– Wasze pojęcie czasu do mnie nie przystaje – odrzekł Argon.

MacGill powrócił wzrokiem do miecza.

– Czy kiedykolwiek sądziłeś, że będę go w stanie podźwignąć? – spytał w zamyśleniu. – Tego dnia, kiedy zostałem królem?

– Nie – odpowiedział Argon beznamiętnie.

MacGill znów odwrócił się do druida i przeszył go spojrzeniem.

– Wiedziałeś, że mi się nie uda. Przewidziałeś to, prawda?

– Tak.

Król myślał o tym przez chwilę.

– Przeraża mnie, kiedy odpowiadasz na pytania tak wprost. To do ciebie niepodobne.

Argon milczał, aż król pojął, że druid nie odpowie na to wymówkę.

– Dziś wskazuję swojego następcę – rzekł MacGill – co akurat tego dnia wydaje mi się bezcelowe. Cóż to za tradycja, która pozbawia króla radości płynącej z zaślubin jego dziecka.

– Być może taka radość wymaga studzenia.

– Przecież przede mną jeszcze tyle lat rządów – zaoponował MacGill.

– Może nie tyle, ilu się spodziewasz – odparł Argon.

MacGill spojrzał na niego, zmrużywszy oczy. Czy druid dawał mu coś do zrozumienia? Argon nie dodał jednak nic więcej.

– Sześcioro dzieci. Które z nich wyznaczyć? – spytał MacGill.

– Dlaczego pytasz? Przecież już wybrałeś.

MacGill znów obrzucił go spojrzeniem.

– Niewiele się przed tobą ukryje. Tak, już wybrałem. Mimo to chcę poznać twoje zdanie.

– Moim zdaniem wybrałeś roztropnie – odrzekł Argon. – Ale pamiętaj, nie można królować zza grobu. Bez względu na to, kogo dziś wybierzesz, przeznaczenie może znaleźć sposób, by dopiąć swego.

– Czy czeka mnie długie życie, Argonie? – spytał poważnie MacGill. Odpowiedzi na to pytanie szukał od poprzedniej nocy, kiedy to obudził go straszny koszmar. – Ostatniej nocy śniła mi się wrona – ciągnął. – Przyleciała i skradła mi koronę. Potem nadleciała inna wrona i poniosła mnie w przestworza. W dole widziałem całe moje królestwo. Gdy nad nim leciałem, coraz bardziej tonęło w czerni, obracało się w pył, w jałową pustynię. – Spojrzał na Argona, a w oczach stanęły mu łzy.

– Czy to był zwykły sen, czy może coś więcej?

– Sny zawsze oznaczają coś więcej, nieprawdaż? – odparł Argon.

MacGilla ogarnęło złe przeczucie.

– Gdzie czyha niebezpieczeństwo? Powiedz mi choć tyle.

Argon zbliżył się i przeszył go spojrzeniem tak intensywnym, że MacGill niemal ujrzał w jego oczach tamten świat. Druid nachylił się ku twarzy króla jeszcze bardziej i wyszeptał:

– Zawsze bliżej, niż ci się wydaje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MacGill siedział w górnej sali zamku – prywatnej sali spotkań, z której korzystał wyłącznie w sprawach osobistych – na swoim prywatnym tronie – ten wyciosany był z drewna – i przyglądał się czwórce stojących przed nim potomków. Był w ich rzędzie jego pierworodny, Kendrick, mimo swych niespełna dwudziestu pięciu lat już wspaniałą wojownik o prawdziwie rycerskim sercu. Ze wszystkich dzieci MacGilla to on najbardziej go przypominał – jak na ironię, bo był jedynym jego potomkiem zrodzonym z innej kobiety, bastarden, o którego matce król dawno już zapomniał. Mimo początkowych protestów królowej, MacGill wychowywał go razem ze swymi prawowitymi dziećmi, chociaż pod pewnym warunkiem: że Kendrick nigdy nie zasiądzie na tronie. Teraz nad tym bolał, bo Kendrick okazał się najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znał, powodem do ogromnej ojcowskiej dumy. Nikt nie okazałby się bardziej idealnym dziedzicem tronu.

Obok stał drugi syn MacGilla, Gareth – skrajnie różny od Kendricka, ale cieszący się pozycją pierwszego prawowitego królewicza. W wieku dwudziestu trzech lat był zaskakująco chudy; miał zapadnięte policzki oraz wielkie brązowe oczy, którymi ani na moment nie przestawał strzelać na boki. Charakterem nie mógł się chyba bardziej różnić od swego starszego brata. Z natury Gareth był wszystkim, czym nie był Kendrick: starszego brata cechowała prostolinijność, młodszy stale ukrywał swoje myśli; od starszego biła duma i szlachetność, młodszy kojarzył się z kłamstwem i krętownictwem. Królowi ubolewał nad tym, że nie umie polubić syna, i wiele razy próbował reformować jego usposobienie, jednak gdy Gareth osiągnął pewien wiek, MacGill uznał, że jego syn po prostu ma taką naturę: intryganta, żądnego władzy i ambitnego w najgorszym tego słowa znaczeniu. MacGill wiedział przy tym, że Gareth nie potrafi kochać żadnej kobiety, ma za to wielu męskich kochanków. Inny król oddaliłby takiego potomka, ale MacGill był bardziej wyrozumiały; dla niego nie było to żaden powód, by nie kochać syna. Nie za te skłonności go osądzał, tylko za jego zły charakter i intrygantwo, na które nie potrafił przymknąć oka.

U boku Garetha stała młodsza córka MacGilla – Gwendolyn. Niedawno skończyła szesnaście lat i jawiła się królowi najpiękniejszym dziewczęciem, jakie kiedykolwiek widział, a jej charakter przyćmiewał nawet jej urodę. Była życzliwa, wspaniałomyślna i szczerą; uważał ją za najdoskonalszą młodą kobietę, jaką znał. Pod tym względem przypominała mu Kendricka. Spoglądała na MacGilla z całą miłością, jaką tylko córka może obdarzyć ojca. Jej oddanie wyczytywał z każdego spojrzenia. Był z niej jeszcze bardziej dumny niż z synów.

Przy Gwendolyn ustawił się Reece, najmłodszy syn króla, dumny i pełen życia, który w wieku czternastu lat z chłopca zmieniał się powoli w młodzieńca. MacGill wielce był rad, że Reece znalazł się w Legionie; już teraz widział w nim mężczyznę, którym chłopiec się stanie. Nie miał wątpliwości, że Reece wyrośnie kiedyś na jego najświetniejszego syna i znakomitego władcę. Ten dzień jednak jeszcze nie nadszedł; chłopiec był za młody i wiele musiał się nauczyć.

Kiedy tak lustrował wzrokiem trzech synów i córkę, duma w sercu MacGilla mieszała się z rozczarowaniem, zniecierpliwieniem i gniewem, bo nie było przy nim pozostałej dwójki dzieci. Luanda, jego najstarsza córka, przygotowywała się właśnie do ślubu. Ponieważ wychodziła za mąż za przyszłego władcę innego królestwa, nie miała powodu uczestniczyć w rozmowie o następcy tronu. Na wezwanie króla nie przybył jednak osiemnastoletni Godfrey. To jawne lekceważenie sprawiło, że MacGill aż poczerwieniał ze złości.

Godfrey już od najmłodszych lat okazywał taki brak szacunku sprawom królestwa, jakby chciał dać do zrozumienia wszystkim, że nie dba o tron i nigdy nie będzie rządził. Wolał marnować czas w szynku, w towarzystwie kompanów-szubrawców, przynosząc rodzinie królewskiej coraz większy wstyd i hańbę, a samemu królowi sprawiając najwięcej zawodu spośród wszystkich jego dzieci. Był obibokiem; przesypiał większość dnia, a resztę czasu spędzał na picciu. MacGill był mu poniekąd wdzięczny, że się nie stawiał. Z drugiej strony była to zniewaga majestatu, której król nie mógł puścić

plazem; spodziewając się jej zresztą, wysłał zawczasu żołnierzy, aby przeczesał karczmy i sprowadzili Godfreya. MacGill siedział więc teraz i czekał w milczeniu, aż się pojawią.

Ciężkie, dębowe drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wmaszerowali dwaj królewscy strażnicy, pół niosąc, pół ciągnąc Godfreya między sobą. Pchnęli go, aż się zatoczył, po czym z łoskotem zamknęli za nim drzwi. Jego bracia i siostra obejrżeli się na niego. Wyglądał niechlujnie, cuchnął piwem, był nieogolony i tylko częściowo ubrany. Uśmiechnął się do nich bezczelnie, jak zwykle.

– Serwus, ojcie – powiedział. – Czyżby ominęła mnie cała zabawa?

– Stań przy rodzeństwie i czekaj, aż sam się odezwę – warknął przez zęby król. – Inaczej, Bóg mi świadkiem, każę cię zakuć w łańcuchy i posłę do lochów razem z pospolitymi więźniami. Nie uświadczysz tam żadnej strawy, nie mówiąc o piwie, przez całe trzy dni.

Godfrey spojrział na ojca zuchwale, z wyzwaniem w oczach. W jego spojrzeniu MacGill dostrzegał ukryte pokłady siły, część siebie samego, jakąś iskrę, która kiedyś może bardzo przydać się synowi... o ile tylko uda mu się pokonać własną naturę. Póki co, krnąbrny dla zasady Godfrey odczekał dobrą chwilę, nim w końcu usłuchał ojca i wolnym krokiem podszedł do rodzeństwa.

MacGill patrzył na pięcioro stojących przed nim potomków: bastarda, dewianta, opoję, dziewczę i chłopca. Dziwna to była mieszanina i ledwo mógł uwierzyć, że to on spłodził ich wszystkich. I oto teraz, w dniu zaślubin najstarszej córki, spoczął na nim obowiązek wyboru następcy spośród tego właśnie grona. Czy to w ogóle było możliwe?

Traktował to zadanie jako z gruntu bezprzedmiotowe; był jednak w kwiecie wieku i mógł jeszcze rządzić co najmniej trzydzieści lat. Kogo by dziś nie wybrał, mogą minąć całe dekady, nim ten ktoś zasiądzie na tronie. Cała ta tradycja działała mu tylko na nerwy. Może i miała jakieś znaczenie w czasach jego przodków, ale przecież nie teraz.

Odchrząknął i zaczął:

– Zgromadziliśmy się tu dzisiaj, aby uczynić zadość tradycji. Jak wam wiadomo, w dniu zaślubin mojego najstarszego dziecka przypada mi zadanie wyznaczenia następcy tronu, dziedzica rządów, przyszłego włodarza naszego królestwa. Gdybym przypadkiem odszedł z tego świata, nikt nie nada się do roli władcy lepiej niż wasza matka. Prawa naszego królestwa jednak wymagają, aby to królewski potomek objął tron. Dlatego też muszę dokonać wyboru.

MacGill zaczerpnął tchu, zatopiony w myślach, czując ciężar odpowiedzialności. W sali panowała głęboka cisza, jakby wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Król spojrział w oczy swoich dzieci i u każdego zobaczył co innego. Bastard wyglądał na pogodzonego z losem; zdawał sobie sprawę, że nie zostanie wybrany. W oczach dewianta płonęła ambicja; oczekiwał, że wybór naturalną kolejną rzeczy padnie na niego. Opój wyglądał właśnie przez okno; było mu wszystko jedno. Córka patrzyła czule w oczy króla, jakby wiedziała, że cała sprawa jej nie dotyczy, lecz kochała go bez względu na wszystko. To samo dotyczyło jego najmłodszego dziecka.

– Kendricku – ciągnął MacGill – zawsze traktowałem cię jak pełnoprawnego syna. Reguły naszego królestwa zabraniają mi jednak przekazać władzy w ręce kogokolwiek innego niż prawowity potomek.

Kendrick skłonił się.

– Ojcie, niczego innego się nie spodziewałem. Rad jestem ze swego losu. Nie frasuj się tym zbytnio.

Taka odpowiedź tylko zaciążyła królowi na sercu; czuł, że jest szczerą i tym bardziej pożałował, że nie może mianować Kendricka swym następcą.

– Pozostaje więc was czworo. Reece, jesteś wspaniałym młodzieńcem, najbystrzejszym, jakiego znam. Ale zbyt młodym, bym mógł brać cię pod uwagę.

– Dziękuję, ojcie. Niczego więcej nie oczekiwałem – odpowiedział Reece, skłoniwszy się nieco.

– Godfreyu – ciągnął król – jesteś jednym z moich trzech prawowitych synów... a mimo to wolisz tracić swe dni w szynkach i karczmach, wśród motłochu z rynsztoka. Mogłeś się cieszyć

z licznych przywilejów, ale wzgardziłeś każdym. Gdybym miał wskazać, kto w życiu sprawił mi największy zawód, byłbyś to ty.

W odpowiedzi Godfrey skrzywił się i niezręcznie wzruszył ramionami.

– No cóż, skoro tak, nic tu po mnie. Czas mi wracać do karczmy, prawda, ojcze?

Skinął głową w lekceważącym ukłonie, odwrócił się na pięcie i dumnym krokiem ruszył do drzwi.

– Wracaj tu! – krzyknął za nim MacGill. – I TO JUŻ!

Godfrey szedł dalej, jakby nie usłyszał. Przemierzył salę i otworzył drzwi. Stało za nimi dwóch strażników. Spojrzeli pytająco na króla, który kipiał ze złości, tymczasem Godfrey minął ich i ruszył w stronę głównej sali.

– Zatrzymać go! – zawołał MacGill. – Ma się nie pokazywać królowej na oczy. Nie pozwolę, by zamartwiała się z jego powodu w dzień zaślubin córki.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odpowiedzieli strażnicy; gdy jeden zamykał drzwi, drugi już spieszył za Godfreyem.

Spurpurowiały na twarzy król oddychał ciężko, próbując się uspokoić. Po raz tysięczny zadał sobie pytanie, za jakie winy los pokarał go takim potomkiem.

Spojrzał na pozostałe dzieci. Wszystkie stały nadal w przytłaczającej ciszy, czekając na jego słowa. MacGill nabrał głęboko powietrza, próbując się skupić.

– Pozostaje was zatem dwoje – powiedział. – To z waszej dwójki wybrałem następcę tronu.

Tu zwrócił się do córki:

– To ty nim będziesz, Gwendolyn.

W sali rozległ się stłumiony okrzyk; wszystkie jego dzieci wydawały się zaskoczone, a Gwendolyn najbardziej.

– Nie przejęczyłeś się, ojcze? – wykrztusił Gareth. – Powiedziałeś „Gwendolyn”?

– Ojcze, to dla mnie zaszczyt – odezwała się Gwendolyn – ale nie mogę się na to zgodzić. Jestem kobietą.

– To prawda, nigdy jeszcze żadna kobieta nie zasiadała na tronie MacGillów. Ale zdecydowałem, że pora już zmienić tę tradycję. Gwendolyn, masz najbystrzejszy umysł i najdzielniejszy charakter ze wszystkich znanych mi kobiet. Jesteś jeszcze młoda. Jeśli Bóg da, pożyję jeszcze trochę, a kiedy nadejdzie mój czas, ty będziesz już dość mądra i doświadczona, by rządzić. Królestwo będzie twoje.

– Ależ, ojcze! – krzyknął Gareth, a twarz mu poszarzała. – To ja jestem twoim najstarszym prawowitym synem! W całej historii rodu MacGillów królestwo zawsze przechodziło we władanie najstarszego syna!

– To ja jestem królem – odrzekł ponuro MacGill – i to ja ustalam tradycję.

– Ale to nie w porządku – zaoponował płacliwie Gareth. – To ja powinienem być królem. Nie moja siostra. Nie jakaś kobieta!

– Powściągnij język, chłopcze! – zawołał MacGill, a głos aż zadrżał mu z gniewu. – Jak śmiesz podważać mój wybór?

– Odbierasz mi prawa na rzecz kobiety? Tylko na tyle zasługuję?

– Podjąłem decyzję – odparł król. – Uszanujesz ją i będziesz jej posłuszny jak wszyscy inni poddani tego królestwa. A teraz możecie wszyscy odejść.

Dzieci MacGilla ukloniły się szybko i pośpiesznie opuściły salę – wszystkie prócz Garetha, który przystanął w drzwiach, jakby nie umiał zmusić się do wyjścia. Zawrócił i samotnie stanął przed ojcem.

MacGill widział rozczarowanie bijące mu z twarzy. Najwyraźniej Gareth spodziewał się, że to on zostanie dziś mianowany następcą tronu. Nie tylko się spodziewał: sam bardzo tego chciał. Wręcz rozpaczliwie. Co bynajmniej króla nie dziwiło – i co zarazem stanowiło najważniejszą przyczynę, dla której go nie wybrał.

– Ojczy, dlaczego mnie nienawidzisz? – zapytał Gareth.

– Daleki jestem od nienawiści do ciebie. Po prostu nie widzę, żebyś nadawał się do rządzenia moim królestwem.

– A dlaczegoż to? – chciał wiedzieć Gareth.

– Dlatego właśnie, że go tak pożądasz.

Twarz Garetha oblała się szkarłatem, jakby król przejrzał na wskroś i obnażył przed nim jego prawdziwą naturę. MacGill patrzył mu w oczy i widział, że płoną nienawiścią, jakiej dotąd nawet sobie nie wyobrażał.

Gareth bez słowa wypadł z sali jak burza, zatrzaskując za sobą drzwi.

Po komnacie przetoczyło się echo, a MacGill zadrżał. Zapamiętał spojrzenie syna i jego niemal namacalną nienawiść, głębszą nawet niż u jego wrogów. Przypomniawszy mu się Argon i słowa druida o niebezpieczeństwie czyhającym w pobliżu.

Czy było ono aż tak blisko?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Thor jechał schowany na wyładowanym sianem wozie, który co rusz podskakiwał na polnej drodze. Zeszłej nocy chłopiec dotarł do traktu i czekał cierpliwie, aż pojawi się wóz na tyle duży, by mógł wskoczyć na niego niepostrzeżenie. Zapadł już zmrok, kiedy nadjechała odpowiednia fura, na tyle wolno, że zdołał dogonić ją od tyłu, skoczyć i wyładować na sianie, w którym prędko się zagrzebał. Na szczęście woźnica nic nie zauważył. Chłopiec nie miał pewności, czy wóz zmierza do Królewskiego Dworu, ale kierunek był właściwy – poza tym rozmiary wozu i oznaczenia na nim świadczyły, że raczej nie jedzie nigdzie indziej.

Mimo że noc była spokojna, Thor tylko leżał w sianie, nie mogąc zasnąć. Myśłami wracał do walki z syboldem, do dwukrotnego spotkania z Argonem, do rozmów o swoim przeznaczeniu. Myślał o matce. Myślał też o domu. Czuł się, jakby świat odpowiedział w końcu na jego wołanie i potwierdził, że przeznaczenie wzywa go gdzie indziej. Leżąc z rękami pod głową, Thor wpatrywał się przez wystrzępione i porwane płócienne pokrycie wozu w nocne niebo, upstrzone odległymi czerwonymi gwiazdami, i czuł niewysłowioną radość. Po raz pierwszy w życiu nareszcie gdzieś podróżował, nawet jeśli nie do końca wiedział dokąd. Wiedział za to, że zrobi wszystko, by dotrzeć do Królewskiego Dworu.

Kiedy otworzył oczy, już świtało i otaczało go światło dnia. Zrozumiał, że musiał zmorzyć go sen. Usiadł gwałtownie i rozejrzał się dookoła, besztając się w myślach za nieostrożność. Powinien zachować większą czujność; miał szczęście, że nikt go nie odkrył.

Wóz jechał dalej, ale już mniej chybotliwie, co mogło oznaczać tylko jedno – lepszą drogę. Pewnie byli już blisko miasta. Thor spojrzał w dół. Trakt był tu wygładzony, pozbawiony kamieni czy rowów, wyłożony po bokach drobnymi białymi muszlami. Serce zabiło chłopcu szybciej; dojeżdżali do Królewskiego Dworu.

Thor wyrzwał z tyłu furi i zamarł, poruszony rozciągającym się przed nim widokiem. Nieskazitelnie czyste ulice tętniły życiem, wypełnione dziesiątkami wozów różnego kształtu i wielkości, wyładowanych najrozmaitszymi towarami. Na jednym były skóry i futra, na drugim pledy, jeszcze na innym kurczaki. Wśród nich krążyły setki sprzedawców – jedni prowadzili bydło, inni spieszyli gdzieś z koszami pełnymi towarów na głowie. Czterech mężczyzn dźwigało na długich drągach zwoje jedwabiu. Wszyscy wyglądali jak wielka armia sunąca w jednym tylko kierunku.

Thor czuł się jak nowo narodzony. Nigdy jeszcze nie widział naraz tylu ludzi i towarów, takiego zamieszania. Całe życie spędził w niewielkiej wiosce, a tu nagle znalazł się w samym środku żywej ludzkiej masy.

Wtem usłyszał głośny łoskot łańcuchów i uderzenie w ziemię potężnej drewnianej konstrukcji, od którego wszystko aż się zatrzęsło. W chwilę później dobiegły go inne dźwięki: stukot kopyt i turkotanie kół po czymś drewnianym. Popatrzył w dół i zrozumiał, że wóz przejeżdża po moście – zwodzonym moście, pod którym chłupie fosa. Wyrzwał z wozu i zobaczył po obu stronach drogi potężne kamienne kolumny, zaś nad sobą żelazną kratę zakończoną wielkimi kolcami; fura mijała właśnie Królewskie Wrota. Thor nigdy nie widział równie olbrzymiej bramy. Podniósł wzrok na groźne kolce i wyobraził sobie, że gdyby teraz spadły, bez trudu przecięłyby go wpół. Dostrzegł też strzegących bramy czterech królewskich Srebrnych i serce zabiło mu szybciej.

Wóz przejechał długim kamiennym tunelem, po czym znowu otwarło się nad nim niebo. Byli w Królewskim Dworze.

Thor nie dowierzał własnym oczom. Panował tu jeszcze większy zgiełk. Tysiące ludzi przepychało się beładnie we wszystkie strony. Wokół rozciągały się połacie zieleni z równo przyciętą trawą i kwitnącymi wszędzie kwiatami. Droga rozszerzała się tutaj; stały przy niej kramy, budy handlarzy i kamienne budynki. Pośród całej ciżby zaś ujrzał królewskich żołnierzy paradujących w zbrojach. Udało mi się – pomyślał.

Z emocji nawet nie spostrzegł, że bezwiednie wstał. W tej samej chwili wóz nagle stanął i Thor jak podcięty zwalił się z powrotem na siano. Zanim zdążył się pozbierać, usłyszał, jak skrzypi opuszczany drewniany bok fury i zobaczył łysego, nędznie odzianego staruszka ze złością w oczach, który sięgnął do środka, chwycił go wychudłymi rękami za kostki nóg i wyciągnął z wozu.

Thor z impetem runął na plecy w kurz drogi, wzbijając w powietrze kłęb pyłu i budząc wokół siebie ogólny śmiech.

– Jeszcze raz załaduj mi się na wóz, chłopcze, to zleziesz z niego w kajdanach! Twoje szczęście, że nie mam czasu wołać Srebrnych! – Starzec odwrócił się, splunął, pospieszył z powrotem na siedzisko i zaciął konie do dalszej drogi.

Speszony, Thor powoli pozbierał się z ziemi i rozejrzał. Paru przechodniów, mijając go, zachichotało pod nosem, ale odpowiedział im bezczelnym uśmiechem, aż odwrócili wzrok. Otrzeptał z siebie kurz i roztarł ręce; na szczęście w upadku ucierpiała tylko jego duma.

Rozejrzał się ponownie i humor mu powrócił. Oszołomiony widokiem, zrozumiał, że powinien się cieszyć: przynajmniej dotarł aż tutaj. Nie musiał już ukrywać się w sianie, więc tym chętniej się rozglądał, a było na co patrzeć: Królewski Dwór rozciągał się w dal, jak okiem sięgnąć. W samym środku grodu stał okazały kamienny zamek, otoczony wyniosłym, umocnionym murem, na którego blankach było aż gęsto od patroli królewskich żołnierzy. Wokół niego widać było zadbane pola zieleni, brukowane place, fontanny i drzewa. Thor niewątpliwie znajdował się w mieście. Miasto zaś tonęło w mrowiu ludzi. Widział tłum różnorakiej maści kupców, żołnierzy i dostojników płynący w pośpiechu w jednym kierunku. Dopiero po chwili zrozumiał, że dzieje się coś wyjątkowego. Idąc spokojnie, patrzył, jak woół wrą jakieś przygotowania – rozstawianie siedzisk, wznoszenie ołtarza. Wyglądało na to, że urządzone są zaślubiny.

Serce zamarło mu z zachwytu, kiedy w oddali ujrzał szranki – pole do turniejowych pojedynków na kopie, z długimi nabiegami i liną do rozdzielania przeciwników. Na innym polu żołnierze rzucali włóczniami do odległych celów; na jeszcze innym łucznicy strzelali do słomianych tarcz. Wydawało mu się, że gdzie nie spojrzy, toczą się jakieś igrzyska i turnieje. Słyszał też muzykę, dźwięki lutni, fletów i talerzy, na których grali wędrowni muzycanci. Z piwnic wytaczano beczki pełne napitku, wynoszono jadło i jak okiem sięgnąć, zastawiano obficie długie drewniane stoły. Trafił chyba w sam środek jakichś ogromnych uroczystości.

Chociaż wszystko to wyglądało olśniewająco, Thor wiedział, że musi przede wszystkim znaleźć Legion. I tak był już spóźniony; musiał stawić się tam jak najszybciej.

Podbiegł do kogoś pierwszego z brzegu – starszego mężczyzny, rzeźnika, sądząc po zaplamionym krwią fartuchu, który spieszył dokąds drogą. Wszyscy dokąds się tu spieszyli.

– Darujcie, panie – odezwał się Thor, łapiąc go za rękę. Tamten zmierzył jego dłoń lekceważącym spojrzeniem.

– O co chodzi, chłopcze?

– Szukam Królewskiego Legionu. Wiecie może, gdzie ćwiczy?

– Czy ja wyglądam na drogowskaz? – syknął rzeźnik i popędził dalej. Jego szorstkość była dla Thora zaskoczeniem.

Pospieszył do kogoś innego. Przy długim stole krzątało się kilka kobiet w różnym wieku i Thor uznał, że któraś musi znać odpowiedź na jego pytanie. Jedna zagniała właśnie ciasto z mąki.

– Darujcie, pani – powiedział do niej – ale wiecie może, gdzie ćwiczy Królewski Legion?

Kobiety spojrzały po sobie, chichocząc. Niektóre były zaledwie o kilka lat starsze od niego. Najstarsza odwróciła się i obrzuciła go wzrokiem.

– Szukasz w złym miejscu – odparła. – Tu przygotowujemy się do uczty.

– Mówiono mi, że ćwiczą w Królewskim Dworze – rzekł Thor, zbity z tropu.

Kobiety znów zachichotały. Najstarsza podparła się pod boki i pokręciła głową.

– Jesteś tu chyba pierwszy raz w życiu. Nie wiesz, jak wielki jest Królewski Dwór?

Thor poczerwieniał, a po chwili pobiegł przed siebie, byle dalej od śmiejących się kobiet. Nie lubił być niczym pośmiewiskiem.

Przed sobą ujrzał z tuzin ulic, które krzyżowały się i wiły po całym grodzie. W kamiennych murach widział dziesiątki wejść. Całe to miejsce przytłaczało go rozmiarami. Miał złe przeczucie, że całe dni miną, zanim znajdzie Legion.

Przyszło mu do głowy, że to, gdzie się ćwiczy, wie chyba każdy żołnierz. Na myśl o rozmowie z żołnierzem króla poczuł się nieswojo, ale uznał, że nie ma innej rady. Pospieszył w kierunku najbliższego wojaka, który stał na warcie przy przejściu pod murem; miał tylko nadzieję, że ten nie wyrzuci go z miasta. Żołnierz stał na baczność, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

– Szukam Królewskiego Legionu – powiedział Thor najodważniej, jak umiał.

Żołnierz nadal wpatrywał się przed siebie, nie zwracając na niego uwagi.

– Jak już mówiłem, szukam Królewskiego Legionu! – powtórzył Thor głośniejszym głosem, z uporem. Miał już dosyć bycia ignorowanym.

Po dłuższej chwili żołnierz opuścił wzrok i spojrzał na niego lekceważąco.

– Możecie mi wskazać, gdzie ćwiczą legionieści? – naciskał Thor.

– A jakąż to masz do nich sprawę?

– Bardzo ważną – odparł chłopiec, licząc, że żołnierzowi to wystarczy. Ten jednak ponownie wyprostował się i zapatrzył w przestrzeń, wracając do ignorowania chłopca. Thor poczuł zawód, że nie doczeka się odpowiedzi.

Jednak po chwili, która wydawała się trwać wieczność, żołnierz odrzekł:

– Przejdź przez bramę wschodnią, potem pójdź na północ i idź tak daleko, jak się da. Wejdź w trzecią bramę po lewej. Skręć w prawo, a potem jeszcze raz w prawo. Za drugim kamiennym łukiem zobaczysz ich plac do ćwiczeń. Ale mówię ci, szkoda czasu. Nie są skorzy do zabawiania gości.

Thorowi tylko tego było trzeba. W mgnieniu oka ruszył biegiem przez plac i podążył według wskazówek żołnierza, powtarzając je w myślach, żeby nie zapomnieć. Spostrzegł, jak wysoko już stoją słońca, i modlił się w duchu, by nie dotrzeć na miejsce za późno.

*

Thor biegł czystymi ulicami o brzegach wyłożonych rzędami białych muszli. Kluczył tu i tam po Królewskim Dworze, starając się podążać dokładnie według wskazówek; miał nadzieję, że nie wiodą go na manowce. Na samym końcu dziedzińca zobaczył bramy i przebiegł przez trzecią po lewej. Mijał kolejne rozwidlenia i ścieżki, przepychając się przez zatłoczone ulice, pod prąd tysięcy ludzi wchodzących do miasta, których zdawało się przybywać coraz więcej. Przeciskał się między lutnistami, kuglarzami, błaznami i wszelakiej maści artystami. Wszyscy byli odświętnie ubrani.

Thor nie mógł znieść myśli, że pobór do Legionu zakończy się bez niego, ale starał się skupić na pokonywaniu kolejnych ulic w poszukiwaniu placu ćwiczeń. Przebiegł pod łukowatym sklepieniem, skręcił w kolejną ulicę i nagle w oddali ujrzał coś w rodzaju okrągłego amfiteatru zbudowanego w całości z kamienia; pośrodku w jego murze widniała wielka zamknięta brama, której strzegli żołnierze. Usłyszał dochodzące zza muru owacje, z tej odległości nieco stłumione, i serce zaczęło mu bić szybciej. To musiał być jego cel. Dotarł tu wreszcie.

Pognał w stronę budowli tak, że aż stracił oddech. Kiedy dotarł do bramy, dwóch strażników zagrodziło mu drogę, krzyżując lance, a trzeci wyszedł przed nich i podniósł dłonie.

– Stój – rozkazał.

Thor stanął jak wryty, z trudem powstrzymując emocje.

– Nie... rozumiecie... panie – wyjąkał, ledwo łapiąc powietrze. – Ja muszę wejść. Spóźniłem się.

– Spóźniłeś? Na co?

– Na pobór.

Strażnik – niski i ocieślały, o ospowatej twarzy – obejrzał się na pozostałych, a ci uśmiechnęli się drwiąco. Ponownie spojrzał na Thora, taksując go lekceważącym wzrokiem.

– Rekruci już dawno tu zjechali. Królewskimi powozami. Skoro cię nie zaprosili, nie możesz wejść.

– Nie rozumiecie, ja muszę...

Strażnik wyciągnął rękę i chwycił chłopca za koszulę.

– To ty nie rozumiesz, bezczelny smarkaczu. Śmiesz tu przychodzić? Po co, żeby wejść na siłę? Uciekaj mi stąd, żebyś nie musiał zakuć cię w żelazo.

Odepchnął Thora tak mocno, że ten cofnął się chwiejnie o kilka kroków i o mało nie upadł. Pchnięcie było bolesne, ale większy ból sprawiła chłopcu zdawkowa odmowa. Wezbrało w nim oburzenie. Nie po to pokonał taki szmat drogi, żeby teraz byle strażnik przegonił go, nie dając mu nawet szansy się wykazać. Wejdzie do środka tak czy inaczej.

Strażnik wrócił do kompanów, a Thor wolnym krokiem ruszył w lewo i zaczął okrążyć budynek wzdłuż muru. Gdy odszedł na tyle, że żołnierze stracili go z oczu, przyspieszył i truchtem już pobiegł wzdłuż budowli. Jeszcze raz obejrzał się, czy żołnierze nie idą za nim i pognął przed siebie. W połowie budynku, mniej więcej na wysokości bramy, tylko po przeciwnej stronie, znalazł nad sobą inne wejście prowadzące do wewnątrz, na arenę: łukowe otwory, jakby okna w kamiennym murze, przegrodzone żelaznymi prętami. W jednym z nich brakowało prętów. Zza muru dobiegł go kolejny zbiorowy okrzyk. Thor podskoczył, przytrzymał się występu w murze, podciągnął się i spojrzał.

Serce zabiło mu szybciej. Cały rozległy, okrągły plac ćwiczebny wypełniony był dziesiątkami rekrutów. Wśród nich stali też jego bracia. Kilku Srebrnych chodziło między rzędami chłopców, mierząc ich badawczym wzrokiem. Nieco dalej, z boku, stała inna grupa rekrutów. Pod czujnym okiem nadzorującego ich żołnierza rzucali włócznią do odległego celu. Jeden z nich chybił. W Thorze aż się zagotowało z oburzenia. Z łatwością trafiłby do tego celu; był równie dobry, jak każdy inny chłopiec w tej grupie. Co z tego, że był młodszy czy nieco mniejszy. To niesprawiedliwe, że nikt nie dał mu szansy.

Wtem Thor poczuł, że ktoś łapie go za kaftan na plecach, po czym nastąpiło szarpnięcie do tyłu tak mocne, że przeleciał parę stóp w powietrzu i ciężko grzmotnął o ziemię, tracąc oddech.

Podniósł oczy i zobaczył nad sobą wykrzywioną w szyderczym uśmiechu twarz strażnika, tego samego, który odegnał go od bramy.

– Co ci mówiłem, chłopcze?

Zanim Thor zdążył cokolwiek zrobić, mężczyzna cofnął się i wymierzył mu silnego kopniaka w zebra. Chłopiec poczuł ostry ból, a strażnik zamierzył się, żeby ponownie go kopnąć. Tym razem jednak Thor złapał żołnierza za nogę i mocnym szarpnięciem powalił go na ziemię. Poderwał się, ale strażnik też się szybko podniósł. Chłopiec gapił się na niego, sam wstrząśnięty tym, co właśnie zrobił. Strażnik spiorunował go wzrokiem.

– Nie tylko w kajdany pójdziesz – zasyczał. – Oj, drogo za to zapłacisz. Zapomnij o Legionie. Śmiałeś tknąć żołnierza królewskiej straży. Zgnijesz za to w lochu! Będziesz mieć szczęście, jak w ogóle stamtąd wyjdiesz!

Wyciągnął kajdany połączone łańcuchem i ruszył w stronę Thora z mściwym grymasem na twarzy.

Chłopiec zaczął cofać się odruchowo. Szybko myślał. Nie mógł dać się zakuć, ale nie chciał też zranić królewskiego strażnika. Musiał coś wymyślić – i to już.

Przypomniał sobie o procy. Sięgnął po nią niemal instynktownie, załadował kamień, wycelował i miotnął. Kamień świsnął w powietrzu, trafiając strażnika w dłoń i wybijając z niej kajdany. Zaskoczony mężczyzna cofnął się z okrzykiem bólu, łapiąc się za rękę. Rzucił chłopcu mordercze spojrzenie i sięgnął po miecz, wyciągając go z charakterystycznym, metalicznym zgrzytem.

– To był twój ostatni błąd – rzucił ponuro i natarł na chłopca.

Nie było rady; strażnik nie dawał za wygraną. Thor włożył w procę kolejny kamień. Cel wybrał z rozmysłem, by żołnierza nie zranić, a powstrzymać. Zamiast w oko czy skroń, wycelował tam, gdzie uderzenie było skutecznym hamulcem.

Między nogi.

Wypuścił kamień – nie z całą siłą, a tylko taką, by mężczyznę powalić. Trafienie było idealne. Strażnikowi pociemniało w oczach. Upuścił miecz, złapał się za krocze, upadł i zwinął się z bólu.

– Za to... zawisniesz...! – wydusił pośród jęków. – Straż...! Straż...!

Thor obejrzał się i zobaczył, że w jego stronę pędzi kilku strażników.

Teraz albo nigdy – pomyślał.

Bez wahania rzucił się do kamiennego okna. Musi zeskoczyć z niego po drugiej stronie muru, wprost na arenę, i stanąć przed Srebrnymi. I pokona każdego, kto stanie mu na drodze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thor pędził przez rozległą arenę ile sił w nogach, słysząc za sobą coraz bliższy tupot królewskich strażników. Gnali za nim przez rozgrzany plac w tumanie kurzu, klnąc pod nosem. Przed sobą zobaczył gromadę legionistów i rekrutów świeżo przybyłych do Legionu – dziesiątki chłopców takich jak on, choć starszych i silniejszych, którzy ćwiczyli i sprawdzali się w różnych dziedzinach. Część rzucała do odległych celów włóczniami, inni oszczepami, jeszcze inni uczyli się poprawnie chwycić kopię. Choć byli jego rywalami, zarazem budzili w nim podziw.

Wśród nich stało w szerokim półkolu kilkunastu prawdziwych rycerzy – Srebrnych – którzy przypatrywali się chłopcom, oceniając ich i decydując, kto pozostanie w Legionie, a kogo odeślą do domu. Thor wiedział, że musi im pokazać, na co go stać, musi ich olśnić; ma tę jedyną szansę, zanim dopadną go strażnicy. Ale jak ma to zrobić? Biegnać przez plac, rozmyślał gorączkowo. Tym razem nie pozwoli się zbyć.

Zwrócił na siebie uwagę już samą swoją ucieczką. Kilku rekrutów przerwało ćwiczenia i spojrzało na niego, podobnie jak niektórzy rycerze. Po chwili wszyscy już patrzyli na niego zdumieni; pewnie zastanawiali się, kim jest i co robi na ich arenie, ścigany przez trzech strażników. Nie takie wrażenie chciał wywrzeć. Marząc przez całe życie o swoim pierwszym dniu w Legionie, inaczej go sobie wyobrażał.

Gdy tak biegł, nie wiedząc, co robić, ktoś zdecydował za niego. Jeden z rekrutów, osiłek, też postanowił zrobić wrażenie na innych i zatrzymać go w pojedynkę. Wysoki, umięśniony, prawie dwukrotnie większy od Thora, uniósł drewniany miecz, zastępując chłopcu drogę. Najwyraźniej był gotów go powalić, zrobić z niego durnia i w ten sposób wykazać swoją wyższość nad resztą. Rozzłościło to Thora. Rekrut nie miał z nim żadnego zatargu; to nie była jego sprawa, a mimo to się do niej wtrącał – tylko po to, by zyskać w oczach innych.

Z każdym krokiem w Thorze rosło niedowierzanie: rekrut górował nad nim wzrostem jak olbrzym. Czoło nad gniewną twarzą pokrywały mu gęste czarne loki. Thor w życiu też nie widział u nikogo równie szerokiej szczęki. Nie miał pojęcia, jak mógłby kogoś takiego choćby drasnąć.

Rekrut rzucił się mu naprzeciw i Thor pojął, że musi działać. Dobył procę, zamachnął się i cisnął kamieniem prosto w dłoń chłopca, wybijając z niej drewniany miecz. Chłopak zawył z bólu i złapał się za rękę. Nie było chwili do stracenia; Thor wybił się z ziemi i obiema nogami naraz z impetem trafił rekruta w pierś. Ten jednak był tak muskularny, że chłopiec poczuł, jakby odbił się od pnia dębu. Osiłek cofnął się tylko nieznacznie, a Thor padł mu u stóp z głuchym tąpnięciem, aż w uszach mu zadzwoniło. Kiępsko to wróży – pomyślał. Próbował wstać, ale rekrut go ubiegł: pochylił się, złapał go od tyłu za grzbiet i rzucił przed siebie, a Thor poleciał na ziemię głową naprzód.

Pozostali chłopcy, którzy zdążyli już otoczyć walczących, wzniesli radosny okrzyk. Thor poczerwieniał ze wstydu. Odwrócił się, żeby wstać, ale rekrut znów był szybszy; skoczył na niego i przygniótł go do ziemi. Nim Thor się spostrzegł, zaczęły się zapasy, a przeciwnik przytłaczał go całym swoim ciężarem. Wokół nich rozbrzmiewały okrzyki pozostałych, którzy domagali się krwi. Rekrut ponuro zmarszczył brwi i sięgnął kciukami do oczu Thora. To było niepojęte; naprawdę chciał mu zrobić krzywdę. Naprawdę aż tak zależało mu na uznaniu innych.

W ostatniej chwili Thor obrócił głowę i kciuki osiłka trafiły w ziemię. Chłopiec skorzystał z okazji i wysliznął się spod rywala. Zerwał się na równe nogi i stanął przed rekrutem, który już się podnosił. Osiłek rzucił się na Thora i zamachnął, próbując trafić go pięścią w szczękę, ale ten w ostatnim momencie kucnął. Poczuł na twarzy tylko pęd powietrza i zrozumiał, że gdyby tamten go trafił, chyba złamałby mu szczękę. Teraz Thor zamachnął się i uderzył chłopca w brzuch, ale ten prawie nie zareagował. Jakby wałnął w drzewo.

Zanim zdążył mrugnąć, chłopak uderzył go łokciem w twarz.

Od silnego ciosu Thor aż zatoczył się w tył i potknął. W uszach mu zadzwoniło, jakby ktoś walnął go młotem. Gdy starał się złapać równowagę i oddech, rekrut kopnął go mocno w pierś. Thor poleciał do tyłu i wylądował na plecach. Inni chłopcy znowu krzyknęli radośnie. Oszołomiony Thor próbował wstać, ale osiłek znow go zaatakował: wziął zamach i uderzył go mocno w twarz, znow posyłając na ziemię – tym razem na dobre.

Leżąc, Thor słyszał stłumione okrzyki chłopców. W ustach czuł słony smak krwi płynącej z nosa, a na twarzy obrzęk. Jęknął z bólu, uniósł głowę i zobaczył, jak osiłek odwraca się i rusza z powrotem ku swoim kolegom, już napawając się zwycięstwem.

Thor miał ochotę się poddać: chłopak jest za silny, walka skazana na przegraną, a on sam nie wytrzyma dalszych ciosów. Jakiś wewnętrzny głos pchał go jednak do działania. Nie może przegrać. Nie na oczach tylu widzów.

Nie poddawaj się. Wstawaj. Wstawaj!

Thor jakoś zebrał w sobie siły. Pojękując, przeturlał się na brzuch i najpierw uniósł na łokcie i kolana, a potem powoli wstał z ziemi. Z pokrwawioną twarzą i podbitym okiem, ledwie widząc, ciężko łapiąc oddech, stanął za odchodzącym rekrutem i uniósł pięści.

Osiłek obrócił się i spojrzał na niego z niedowierzaniem. Pokręcił głową.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.